

Trzy łózka

Władysław Oszejca str. 11

HOTELE ROBOTNICZE

Zdzisław Klosowski str. 10

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamienia

LUBLIN 7 VIII 1977 Nr 16 (632)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

BIESZCZADY 77 (I)

Jechać
czy nie?

Maciej Podgórski

DZIS w Bieszczadach jeszcze można być samym. Obmierzli mi ludzie, ich blade, zaiste twarzyczki — muszą wziąć namiot, piecak, i w końcu odnajdą ustronny kątek, gdzie obcowanie z przyrodą wyzwala szlachetność myśli. Widuje się tu czasem takich pojedynczych wędrowców, objuczonych tobołami. Nigdy nie zatrzymują samochodów zbaczają z utartych szlaków, nie szukają towarzystwa — szukają samotności, potrzebnej człowiekowi, żeby spokojnie zastanowił się nad własnymi problemami.

Ten rodzaj przybysza nie jest najmilej widziany. On nie da zarobić sklepom monopolowym, biurom kwatery, dancinom, nie pomnoży funduszu wczasów pracowniczych, kas ośrodków wypoczynku, resortowych, związkowych i zakładowych. Zresztą obywatele z przyzwyczajenia na ogół nie zapotrzebowują samotnych urlopów, a w Bieszczadach obowiązują, obwarowane mandatami, zakaz biwakowania poza wyznaczonymi kempingami i polami namiotowymi, jeżeli obchodzony przez turystów, to nie z czystej miłości do samotni i refleksji.

Od paru lat gospodarze regionu rozważają turystykę w kategoriach przemysłu, oferującego za godziwe pieniądze rozmaite atrakcje cywilizacyjno-wypoczynkowe. Towarzyszą temu integrujące posunięcia administracyjne. W 1972 roku utworzono więc z trzech powiatów jeden rozległy powiat bieszczadzki z siedzibą w Lesku. Obecnie całe Bieszczady na-

Dokończenie na str. 8—9



Fot. J. Dulipan

SAMOCHÓD

BEZ

BENZYNY

Ireneusz J. Kamiński

WIELKI przemysł przyniósł Puławom miejsca pracy, domy mieszkalne, obszerne sklepy, hotel z prawdziwego zdarzenia, pieniądze — same radości. Ale tenże przemysł przyniósł jednocześnie szereg złożonych problemów społecznych, związanych choćby z faktem, że do puławskich zakładów pracy dojeżdża codziennie i od kilku lat około 6000 osób — z okolicznych miasteczek i wsi — ze wiele tysięcy zjechało tutaj z różnych stron kraju, osiedlając się na stałe, lecz chyba nie asymilując na dobre w lokalnej tradycji społecznej. Jeśli kiedyś istniał w Puławach podział na „miasto” i „Watykan”, (potoczna nazwa instytutów naukowych!), to w latach sześćdziesiątych wyodrębniło się jeszcze jedno środowisko: Zakładów Azotowych (ok. 6 tys. pracowników). Dlatego właśnie integrację społeczeństwa uznaliśmy za jedno z naszych głównych zadań, poinformowałem mnie pięć lat temu przedstawiciel puławskiej władzy. Integracja jest naszym głównym problemem, stwierdził kilka tygodni temu naczelnik miasta, Zygmunt Czajkowski, poparty przez swego zastępcę, Stanisława Jędrzycha. Podobnego zdania jest Andrzej Mejnartowicz, kierujący puławską kulturą... Identyczną opinię wyraził dr Stefan Buksinski — historyk, regionalista, jeden z animatorów Towarzystwa Przyjaciół Puław — nim rok temu nie przeprowadził się do Częstochowy, gdzie objął stanowisko dyrektora biblioteki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, zyskując tytuł docenta.

Integracja czyli poczucie wspólnoty, respektowanie określonego systemu wartości, choć społecznego działania, szacunek dla lokalnej tradycji — jak ta sprawa wygląda w Puławach? Dziennikarskie obserwacje nie zezwalają na kategoryczną odpowiedź, pozwolę więc sobie tylko na przytoczenie kilku faktów, które w jakiś sposób ilustrują problem.

Dokończenie na str. 4—5

ŁĘCZNA

Tadeusz Jasiński

WDWUTYSIĘCZNYM roku Łęczna ma się zapaść. Najstarsi ludzie w miasteczku przypomnieli tę przepowiednię, gdy u nich urealniano. To już nie fatum, nie zrzędzenia niebios, ale ludzka ręka do tego się przyłożyła. Wyborą górnicy spod miasta węgiel i runie ono w otchłań. A co młodzież na to? Twierdzą, że to, co przyszło tak niespodziewanie, zagłady zgotować Łęcznej nie może, spo-

woduje jej wyniesienie. Baśń — baśnią, ale tak naprawdę wszystkim, bez względu na pokolenia, śni się Eldorado: tu powstanie wschodni Śląsk, a z nim odmilenie życia. Prawda, w minionych trzech dziesiątkach lat miasteczko stało się znowu małym centrum dla najbliższej okolicy, ośrodkiem usługowym i handlowym dla rolników. Tu ześrodkowało się szkolnictwo, wraz z wybudowaniem dużej szkoły; tu rozwinęła się służba zdrowia i kultura,

handel GS. Tu warszawska fabryka półprzewodników „Tewa” dała pracę 200 kobietom, utworzył swój oddział „Agromet”, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo „Drewno” i zakłady krawieckie. Do pracy zawołał Lublin, dał ją też Milejów.

Największą nadzieję na trwałą odmianę życia 2700 mieszkańców miasteczka przynosi jednak węgiel. Nie

Dokończenie na str. 3

z notatnika

19 VII. „Trybuna Ludu” zamieszcza szczegółową relację z kolejnego spotkania I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, z dziennikarzami. Mieszkania, handel zagraniczny, inwestycje, styl pracy — autorka sprawozdania, Irena Dryll szczegółowo omawia poszczególne tematy.

Mieszkania. Cel o którym mówił I sekretarz, to wybudowanie ponad dwóch milionów mieszkań. Będę się starał o to osobiście — stwierdził Edward Gierek — będę robił wszystko, aby ilość wybudowanych mieszkań mieściła się w granicach dwa miliony trzysta tysięcy — dwa i pół miliona mieszkań. Mowa o następnej pięcioletce. W bieżącej mamy zbudować półtora miliona.

Handel zagraniczny. Niedostateczny jest tempo wzrostu eksportu. W gospodarce świata kapitalistycznego panuje zła koniunktura. Niewystarczająca pod względem ilościowym i jakościowym jest oferta eksportowa naszego przemysłu. W stosunku do ubiegłego roku spadły ceny na tak ważne z punktu widzenia eksportu surowce, jak węgiel, miedź czy siarka. Nastąpił równocześnie wzrost cen na wyroby importowane, m. in. na wyroby hutnicze i naftowe, ziarno kakaowe, kawę. Pod wpływem utrzymującej się recesji wielu naszych zachodnich kontrahentów zaczyna wprowadzać politykę protekcjonizmu wobec własnych towarów. Zarazem rosną wymogi wobec oferty eksportowej. Podstawowym warunkiem rozwoju eksportu, a zarazem zwiększenia szans na konieczny import jest jakość i asortyment wyrobów.

W kraju obserwuje się pewną poprawę sytuacji na rynku, która nie dotyczy jednak zaopatrzenia w mięso i przetwory. Jesteśmy jednak na etapie odbudowy pogłowia trzody chlewnej. Na równowadze rynkowej ciąży ponadplanowy wzrost dochodów ludności. 8 miliardów złotych stanowią ponadplanowe dochody z tytułu wyższej niż planowano dynamiki funduszu płac. Pod pojęciem „naruszenie dyscypliny” kryją się różne zjawiska: niekiedy np. trudno uniknąć nieprzewidywanych, a koniecznych wydatków z funduszu płac. Nie mniej musi zastanawiać fakt, jak to się dzieje, że przeciekają na niedostatecznie do tego przygotowany rynek już nie miliony, a miliardy nieplanowanych złotych? Kto, komu i za co wypłaca je „ciepłą rączką”? I jak skutecznie tamować ten specyficzny „przeciek”, skoro nie pomaga szereg istniejących ostrych przepisów normujących gospodarowanie funduszem płac?

Inwestycje. W działalności inwestycyjnej — stwierdził Edward Gier-

rek — w okresie sześciu lat zrobiliśmy ogromny krok naprzód, także jeśli chodzi o skracanie cykłów inwestycyjnych. Ale wciąż jeszcze pewna ilość inwestycji realizuje się w terminie niezadowalającym.

Polska dokonała w ostatnich latach olbrzymiego skoku inwestycyjnego. Oblicza się, iż potencjał gospodarczy w minionej pięcioletce wzrósł o około 54 proc., w tym w przemyśle — o przeszło 70 proc., w budownictwie — o 144 proc. Stał się krajem o poważnych możliwościach produkcyjnych. To „inwestycyjne pchnięcie” niewątpliwie kosztowało i kosztuje, wydatnie obciąża gospodarkę — również w sensie spłaty kredytów zagranicznych. Jednak dług zagraniczny Polski w niczym nie zagraża naszej gospodarce. Gdybyśmy nie budowali, nie inwestowali, mielibyśmy znacznie trudniejszą sprawę do rozwiązania niż mamy obecnie (...). Obciążenie kredytowe byłoby mniejsze, ale mielibyśmy obciążenie psychiczne, polityczne, społeczne. Weźmy pod uwagę tylko jeden problem — wyżu demograficznego: licząc od 1971 roku — trzy i pół miliona osób. Dzięki inwestycjom stworzyliśmy w ostatnich sześciu latach około dwóch milionów nowych miejsc pracy. Bez tego „pchnięcia inwestycyjnego” ilu młodych chodziłoby bez pracy?

Sposób myślenia, styl pracy. Nie zawsze i nie wszędzie osoby odpowiedzialne za poszczególne zakłady i odcinki gospodarki w sposób właściwy rozumieją istotę uchwał V i VI Plenum. Odnosi się to zwłaszcza do takich sytuacji — gdy realizacja na danym terenie czy danej jednostce gospodarki koliduje z wcześniejszymi ustaleniami i zamierzeniami inwestycyjnymi lub wymaga istotnego przestawienia w myśleniu i działaniu. Tak to u nas bywa — stwierdził I sekretarz — że jak się ktoś do czegoś przyzwyczail do niezależnie od tego, czy racje przemawiają za tym, by kontynuować kierunek działania, czy też potrzebna jest pewna korekta, upiera się przy swoim. Trwają przygotowania do IX Plenum KC. Na tym Plenum będzie się mówić o aktualnym stanie i tendencjach rozwojowych w gospodarce. Chodzi o odpowiedź na pytanie: jakie są słabe punkty, jakie czynniki utrudniające osiąganie założonych przekształceń w strukturze wytwarzania.

W czasie spotkania dziennikarzy z Edwardem Gierkiem poruszano również aktualne problemy międzynarodowe. Ja myślę — oświadczył I sekretarz — że nie ma innej alternatywy niż odprężenie, niż porozu-

mienie w sprawie pokoju, w sprawie rozbrojenia. Rozmowy na ten temat nie są łatwe. Chodzi przecież o dwa różne bieguny, o dwie różne koncepcje rozwoju świata, rozwoju ludzkości. I tutaj na pewno należy się spodziewać różnego rodzaju zahamowań. Sądzę jednak — może jest to optymizm na wyrost — że wszędzie: i na Wschodzie i na Zachodzie istnieje świadomość niebezpieczeństwa wynikającego z braku porozumienia, z braku rozmów.

25 VII. Plenum KW PZPR w Lublinie z udziałem członka Biura Politycznego KC, Edwarda Babiucha. Na porządku obrad sprawy organizacyjne. Plenum minutą ciszy uczciło pamięć niedawno zmarłego I sekretarza KW PZPR w Lublinie Ryszarda Wójcika. W imieniu Biura Politycznego KC Edward Babiuch zarekomendował na stanowisko I sekretarza KW — Władysława Kruka, znanego w naszym regionie działacza politycznego i gospodarczego. Wcześniej kandydaturę Władysława Kruka jednomyslnie poparła Egzekutywa KW.

Władysław Kruk ma 46 lat, z wykształceniem jest magistrem inżynierem rolnictwa. W 1959 roku powołany został do pracy w Wydziale Rolnym KW PZPR w Lublinie. W 1962 r. został zastępcą kierownika tego Wydziału, a w 1966 r. wybrano go I sekretarzem KP PZPR we Włodawie. Po trzech latach wrócił do Lublina na stanowisko sekretarza KW. Od 1975 r. piastował funkcję dyrektora Zjednoczenia Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej w Lublinie.

27 VII. Agencja TASS krytykuje niektóre posunięcia w polityce zagranicznej USA. Komentator Agencji, Wadim Biriukow omawia przeprowadzane przez CIA doświadczenia z różnymi rodzajami broni psychologicznej.

Ludzie przywykli do tego — stwierdza Biriukow — że broń to czołgi, działa, rakiety i bomby. Nawet bomba neutronowa [...] pozwala się zaklasyfikować w tym tradycyjnym ujęciu. Lecz myśl o tym, aby „manipulować umysłem ludzkim”, jeszcze do niedawna była udziałem fantastów. W każdym razie była ona fantazją do momentu wystąpienia w Waszyngtonie jednego ze współpracowników Departamentu Stanu, Johna Marxa, który przedstawił dziennikarzom około tysiąca stron rozmaitych dokumentów CIA, mówiących o istocie programu „MK-Ultra”. Okazało się, że w swoich eksperymentach nad rozwijaniem nowych rodzajów broni, CIA wypróbowała rozmaite preparaty medyczne, zjawiska wstrząsu elektrycznego, promieniowania, ultradźwięków, możliwości chirurgicznej ingerencji w działanie mózgu ludzkiego, lub oddziaływanie na psychikę człowieka.

Światowa opinia publiczna zawsze występowała aktywnie przeciwko tego rodzaju eksperymentom. Na procesie norymberskim oprawcy hi-

strowscy zostali surowo osądzeni przez aliantów, m. in. za tego rodzaju przestępstwa. A po pewnym czasie CIA przystąpiła do prac nad nową bronią, prowadząc eksperymenty na ludziach w ramach takich programów jak wspomniany „MK-Ultra”.

28 VII. Z pewnym opóźnieniem przeczytałem w 22 n-rze zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel” artykuł, którego autor pisze o faktach przerażających. „Upadłe anioły, upodłone dzieci” — oto tytuł artykułu. Dowiadujemy się z niego, że w ostatnich latach gwałtownie wzrosła się fala pornografii w magazynach ilustrowanych i w filmie. Najpierw pokazywano stosunek płciowy między dwojgiem dorosłych ludzi, potem nastąpiła eskalacja: stronice magazynów zaczęły wypełniać seks zbiorowy, stosunki biseksualne i homoseksualne, sadyzm, masochizm, sodomia. Teraz rozpowszechnia się szczególnie groźne zjawisko — seks dziecięcy. Według danych policji amerykańskiej dziecięcy seks przynosi około 10 proc. zysku w pornograficznym biznesie, którego dochody szacuje się na miliard dolarów rocznie.

Badania specjalnej komisji, powołanej przez Senat USA, wykazały że rocznie ucieka z domów ponad milion bezbronna, pozbawiona pomocy rezerwowa armia przemysłu pornograficznego. Są one łatwą zdobyczą nie tylko dla łowców dziecięcej pornografii, ale i dla sutenerów, żyjących z dziecięcej prostytucji. Najmłodszych w tym najstarszym zawodzie świata jest już w USA około jednego miliona i, niestety, trend w tym kierunku stale rośnie. Liczba dzieci w wieku szkolnym, cherech wenerycznie, zwiększyła się od roku 1970 do 1978 dziesięciokrotnie — z 13 do 137 tysięcy!

30 VII. Na spotkaniu z dziennikarzami Edward Gierek stwierdził, że dzięki nowym inwestycjom stworzyliśmy około dwóch milionów nowych miejsc pracy. Bogata Francja ma milion młodych bezrobotnych. Bezrobocie młodzieży stało się tu problemem permanentnym. W 1970 roku co czwarty Francuz w wieku poniżej 25 lat pozostawał bez pracy, dziś — co drugi. W niektórych regionach (np. w Lotaryngii) bezrobocie młodzieży dochodzi do 60 proc. Dyplomy techniczne, które niegdyś zapewniały względnie karierę, dziś nie wystarczają. W 1972 r. 78 proc. absolwentów — szkół zawodowych znajdowało pracę. Obecnie — tylko 64 proc. Nawet wśród dyplomowanych techników bezrobocie wynosi 9 proc. Co gorsza nie ma zwiastunów poprawy. Zdaniem pisma „Economie et statistiques” co dziesiąty inżynier, co trzeci absolwent szkół wyższych, co czwarty szkół zawodowych będzie się musiał przekwalifikować, aby znaleźć pracę w 1980 roku!

MAJ

NAGRODY

Z OKAZJI święta 22 Lipca minister kultury i sztuki przyznał liczne nagrody za twórczość artystyczną. Pełną listę nagrodzonych publikowała prasa codzienna. Podkreślić jednak trzeba, że nagrodę I stopnia w dziedzinie plastyki otrzymał JAN ZIEMSKI z Lublina.

Wrecono także nagrody miasta Lublina w dziedzinie kultury i sztuki.

Nagrodę zespołową I stopnia otrzymała Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Lopacińskiego, a nagrody zespołowe I stopnia Towarzystwo Kultury Teatralnej, Zespół Wokalno-Instrumentalny Budka Suffera i Zespół Teatralny TOR z Domu Kultury Kolejarskiego.

Nagrody indywidualne I stopnia przyznano: naszej współpracownicy, literatce i krytykowi teatralnemu Maril Bechezy-Rudnickiej oraz instruktorce amatorskiego ruchu muzycznego Adolfinie Szalańskiej. Nagrody II stopnia wrecono działaczowi kulturalnemu dr. Stefanowi Wojciechowskiemu oraz muzykowi Tadeuszowi Rolleklemu.

Nagrodzonym serdeczne gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy w dziedzinie kultury!



DZIEŃ DRUKARZA

30 lipca Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie obchodzą swoje doroczne święto — Dzień Drukarza. Na uroczystym spotkaniu zalogi produkcyjnej LZGraf. udekorowani zostali wysokimi odznaczeniami państwowymi: Józef Galbarczyk otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski; Jan Frak, Krzysztof Kocot, Tomasz Maciejko, Edward Pokusa — Złote Krzyże Zasługi; Urszula Winczura, Jadwiga Karas, Zofia Okrój, Antoni Filisłak, Eugeniusz Manko, Józef Ochal, Roman Włodarski, Wiesław Krajewski i Zygmunt Zajęczkowski — Srebrne Krzyże Zasługi.

Wszystkim odznaczonym serdecznie gratulujemy i z okazji święta składamy najłepsze życzenia tym wszystkim pracownikom LZGraf, którzy nadają ostateczny kształt naszemu piśmiu: linotypistom, chemigrafom, metrampazom, preserom, pracownikom działu stereotypii, maszynistom rotacyjnym i ich pomocnikom.

Na zdjęciu obok: metrampaz — Wiktor Mada (na pierwszym planie) i od wielu lat lamajcy „Kamień” Mieczysław Psujek.

tylko dla nich, dla całej Lubelszczyzny i Chełmszczyzny, dla Polski. Jednak 60 proc. mieszkańców Łęcznej to rolnicy, wielu z nich do ziemi bardzo przywiązanym w prawie tradycyjny sposób. I o tę ziemię właśnie pytają: co z nią się stanie, co będzie z nimi, którzy niczego innego nie potrafią, jedno, co umieją, to jak najlepiej gospodarzyć na tych wielu splachetkach, bo prawie nikt nie posiada pola w jednym kawałku. Przyszłość, która ma tu się pojawić, gotuje się poza łącznowską społeczności, prawie bez konsultacji. Po-

wołane przed dwoma laty Towarzystwo Miłośników Ziemi Łęczyńskiej szuka odpowiedzi na zadawane pytania. Niestrudzona prezesa Stefania Pawlak — długoletnia, teraz już na emeryturze, kierowniczka miejscowej szkoły podstawowej, zbieraczka wiedzy o przeszłości i teraźniejszości miasta między Wieprzem a Swinką — stara się ze swoimi współpracownikami tę niefrasobliwość czynników wyższych łagodzić. Na spotkaniu z głównym projektantem Aglomeracji Lubelskiej i Lubelskiego Zagłębia Węglowego przyszło prawie 100 osób, na zebranie z udziałem przedstawicieli Rejonowej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich o połowę mniej, ale za to przede wszystkim rolnicy. Nie można było jednak dostrzec choćby jednej osoby reprezentującej miejscowe władze. Broniłbym jednak przed osądzeniem, że nie obchodzi je los miasta i gminy, którymi kierują. Po prostu i one mają ludziom mało do powiedzenia, bowiem nadal bardzo wiele dzieje się poza nimi.

Są pytania, jest ich w Łęcznej wiele i czekają odpowiedzi. Towarzystwo okazało się dotąd jedynym, które postarało się, aby na tak szerokim forum mogły być zadawane i doczekają się poważnego potraktowania. „Od niepewności ludzie zachodzili w głowę — powiedział mi po obu spotkaniach jeden z gospodarzy — co będąc z ich ziemią?”

Henryk Kowalski, członek Zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Łęczyńskiej, niepokoi się mniej od innych. Jest wśród tych, do których sąsiedzi zwracają się po wyjaśnienia. Sam od sporego już czasu specjalizuje się w hodowli owiec, ale młodym zaleca sadownictwo, bo sześćdziesięcioletnie miasto potrzebować będzie owoców i warzyw. Zresztą jego rodzony brat urządził w Lublinie porzucił i przyznał się do swojej części ojcowizny, właśnie ogrodnictwo zakłada, już 10 arów pod szkłem uprawia i wie, co robi. Pan Henryk miał dotąd, że Łęczna przeobrazi się drogą ewolucji, a nie rewolucji, tymczasem ta ostatnia, zwana ekonomiczną, węglową, już łomocze w drzwi miejsko-wiejskich kamieniczek. Nie wszyscy tak trzymają się mocno ziemi, jak Piotr Sierpiński. Zdaniem Kowalskiego ludzie liczą na atrakcje, na konkretną korzyść, powiedziano im, że rynek w Łęcznej znowu będzie chłonny. Ale i wątpliwości mają, boją się, że i to może im umknąć, jeżeli ziemia ze i to może im umknąć, jeżeli ziemia i o te swoje domki w starej jego części pytają, o zagrody, w których hodowia, przechowywanie płodów. Kiedy wywłaszczenie z gruntów, jakich, czy nastąpi to wnet, czy można jeszcze gospodarzyć? Za ile ziemię brać będą, czy oszczędzą stare uliczki, a zieleni czy aby uszanują?!

Trzeba było śledzić te pytania i odpowiedź zaproszonych specjalistów we wspomniane dwa niedzielne przedpołudnia! Rolnicy usłyszeli: Człowiek będzie uszanowany, krzywdy nikomu władze nie pozwolą zrobić.

Wypuk ziemie zaczęły się od ulicy Świętoduskiej już w grudniu. Potem według potrzeb, w stronę Puchaczowa będzie się Łęczna rozwijać. Kto chce, może rolę oddać państwu za rentę, może zamienić na gospodarstwo w innej miejscowości, może też ziemię sprzedać, a mieszkanie otrzymać w blokach. Pracy dla nikogo nie zabraknie. Kto zechce, może otrzymać działkę po milejowskiej stronie i wybudować domek jednorodzinny, tak jak to czyni teraz 30 innych mieszkańców, a drugie tyle zamierza iść w ich ślady. Egzystencja wielu rodzin nie będzie podważona, ale odmieniona.

Towarzystwo zyskało sobie spory autorytet, obwołano je na tych zebraniach pośrednikiem między społeczeństwem a władzami, szczególnie zaś zespołami, które decydują o jego przyszłości. Odczuwało się na sali pragnienie pełnej wiedzy o tej przyszłości, ale także o teraźniejszości. Stąd chyba zrodziło się pragnienie przywrócenia nie tak znowu odległej tradycji. Zażądano od Urzędu Miejskiego czegoś w Europie niebywałego już w naszych czasach:

— Niech woźny miejski wychodzi z bębniem na rynek pierwszy, potem na drugi i trzeci! Niech bębni, a gdy ludzie się zjedzą, niech odczytuje komu-

nikaty miejscowej władzy, niech głosi wiadomości lubelskie i katowickie o tym, co ich czeka. Przed wojną tak było, zaraz po wojnie jeszcze się zdarzało. Potem był radiowęzeł, były głościki przy wszystkich rynkach i ludzie wiedzieli. Teraz wiedzą za mało. Niech wychodzi woźny miejski: — Słuchajcie ludzie, słuchajcie! Niech tak będzie przynajmniej w starej części miasta. „Ptokom” wystarczą komunikaty na słupach ogłoszeniowych samorządu mieszkańców. „Krzoki” jednak chciałyby po staremu, bo dawniej wiedzieli wszystko, co ich dotyczyło, teraz nie wie, albo za mało. Werbel niech ich zwołuje, a nadstawia ucha...

Pomyślałem wtedy, a może ten anachronizm nie byłby wcale taki staroświecki? Skoro wciąż jeszcze nie przewidziano odpowiednich środków i zasad ratowania tego unikalnego miasteczka z trzema rynkami, to niech przynajmniej ten herold wiąże nowe ze starymi czasami.

Głód wiedzy o przyszłym kształcie miasta był jeszcze wyraźniejszy, gdy Towarzystwo zaprosiło jego głównego projektanta, swojego ziomka w jednej z tych kamieniczek urodzonego. Kierował w Iraku grupą polskich specjalistów projektujących przebudowę i rozbudowę Bagdadu, projektował też kształt urbanistyczny osiedla w lon-

we miasto nie powinno niszczyć wartości kulturowych, urbanistycznych i architektonicznych starego miasta. Trzeba zachować zespół podzamcza oraz grodziska, pewne wątki wsi, które wkomponowały się w to miasteczko, budowle i fragmenty zabytkowych obiektów. Zachować przyrodę nad Wieprzem i Swinką, dążyć, aby dobrej gleby wzięto pod zabudowę jak najmniej. Równocześnie zlagodniały poglądy na temat: kto naprawdę skorzysta z pobliskich kopalń oraz z budującego się już nowego miasta. Zgodzili się, że droga do nowych mieszkań prowadzi poprzez pracę górniczą, a do niej trzeba się przysposobić. Ci, którzy pozostaną w sta-

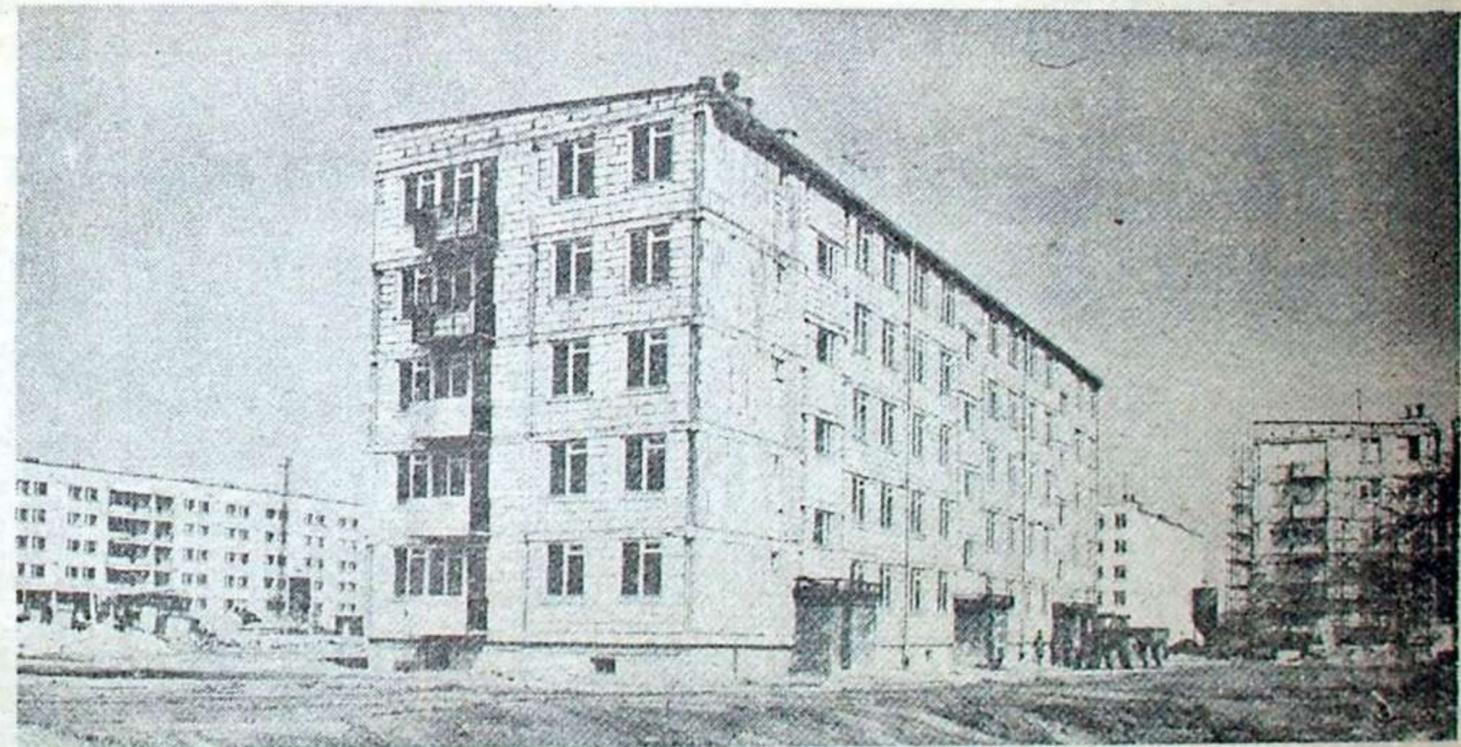
rych budynkach, i tak mieszkań będą lepiej, bo zarówno kanalizacja, jak i późniejsza gazyfikacja i ogrzewanie ogólnomiejskie nie ominą starej dzielnicy. Miasto, z którego wyrasta nowe i większe, nie może być pokrzywdzone. Jednak decyzje w jego sprawie podjęte być muszą. Burzyć nie wolno, budować tam nie można, a patrzeć, jak wszystko się rozsypuje — kto spokojnie potrafi?!

Romualda Dylewskiego martwi standardyzacja domów w wielu dzielnicach Lublina i w tych, które już powstały w Łęcznej na podstawie starego projektu. Jeżeli nawet w okolicach Łęcznej miałaby powstać fabryka domów, to niechby przynajmniej była inna niż lubelska. Mogłyby obie wtedy pracować dla Łęcznej oraz Milejowa i równocześnie dla miasta wojewódzkiego. Dzielnice byłyby architektonicznie zróżnicowane. Pytam, czy Łęczna może ustrzeże się brzydoty i bylejakości?

— Mam podstawy do takiej nadziei, inaczej nie podjąłbym się tego zadania — mówi inż. Dylewski. — Resort górnictwa jest także zainteresowany, aby to było piękne i inne od pozostałych miast. Chce uzyskać atut: warto pracować w Lubelskim Zagłębiu Węglowym, bo można zamieszkać w pięknym mieście. Dysponuje pełnomocnictwami Komitetu Planowania Przestrzennego,

mali tamto nazwanie; są też „ptokami”. We wspomnianych spotkaniach jeszcze nie uczestniczyli. Kierowniczka Miejskiej Biblioteki, Krystyna Ciurajowa, wymyśla mi jednak 50 kart czytelnicy należących właśnie do członków rodzin z ulicy Gorniczej. A więc już pragną konsumować dobrą kulturę. Może Miejski i Gminny Ośrodek Kultury, który właśnie powstaje w budynku strażnicy, a częściowo także gościnnie w Muzeum Lubelskiego Zagłębia Węglowego, będzie mógł coś interesującego zaproponować zarówno „krzokom”, jak i „ptokom”. Na ocenę poczekajmy. Zarówno I sekretarz Komitetu Miasta i Gminy, Robert Mądrakiewicz, jak i naczelnik Ryszard Topolski odczuwają, że to prawie trzydziestoczłonne miasteczko przysparza im już teraz problemów miasta stutysięcznego, a mentalność mieszkańców pozostała prawie niezmienną. Decyzje podejmowane w Lublinie lub Katowicach niemal zawsze znajdują swój wykonawczy epilog w Łęcznej. Szczegółowa informacja omija miejscowe czynniki, tymczasem życie zaskakuje nieraz koniecznością podejmowania natychmiastowych decyzji. Z drugiej strony należy ufać fachowcom, uszanować ich wiedzę, specjalności, a więc i to wszystko, co oni postanowią, a do wiadomości podadzą dopiero wtedy, gdy ostateczna idea się skryształizuje. Najważniejsze, aby teraz nie dopuścić do podziałów. Termin „ptoki” jest na szczęście rzadko używany. Starzy mieszkańcy obawiają się, że przez duże pieniądze górników zostają już teraz zepchnięci do roli podrzędnej. Nie chcieliby być tylko obserwatorami, jak w ciągu kilku godzin znikają drogie, automatyczne pralki, kolorowe telewizory, zestawy mebli itp. Tak, a równocześnie łączniacy tak mało swoich synów wysłali do szkół górniczych! Jakże więc chcą to osiągnąć? Tak niewiele specjalizuje się jeszcze w kulturach, które zapewniłyby im większe dochody z rolnictwa, warzywnictwa i sadownictwa. Manna sama z nieba nie spadnie. Wielkie Eldorado może zastać ich nie przygotowanych, aby mogli z niego skorzystać. Stwierdzają to kompleksowe badania obozu naukowego lubelskich studentów, choć, niestety, brak wśród nich socjologów.

Pani Stefania Pawlak i Towarzystwo, któremu prezesa, pragnie integracji starej i nowej społeczności. Pielegnuje w sobie pragnienie wyraźnej utopijnej, chce, aby przybyłszy przyjęli



Łęczna: nowe bloki mieszkalne dla górników z Bogdanki

Fot. J. Wielopolski

dyńskiej dzielnicy East End. Posiada swój wkład w odbudowę i budowę Warszawy i teraz oto nie oddalił oferty mniejszej przecież, ale nęcącej, bo chodzi o zbudowanie miasta górników w miejscu, gdzie nikt dawniej węgla się nie spodziewał. Razem z nim zastanawiali się, jak sąsiedzi z sąsiadem, co trzeba uczynić, aby uratować równocześnie starą Łęczną. Mgr inż. arch. Romuald Dylewski jest dla nich niemal wyrocznią. Wierzą mu, ufają, choć on sam nie jest pewny własnych racji, a ściślej mówiąc — możliwości całkowitego ich spełnienia. Ktoś zniecierpliwiony zawołał: — Stare miasto się wali, jeżeli nie ma środków i decyzji, to je zburzicie do końca, będziemy również lepiej mieszkali, a nie tylko przybyłszy! — Stop, stop! — zawołał na to. Potwierdziło się główne hasło generalnego projektanta: — No-

według których Łęczna ma mieć najwyższe wskaźniki usług, wyższe od standardu krajowego, ma być miastem jakościowo lepszym od pozostałych. W każdym razie atrakcyjny układ komunikacyjny jest w rękach zespołu, którym kieruje. Z tym sobie poradzimy. Natomiast boimy się, aby naszej wizji i dobrych rozwiązań nie zabiło monotonne budownictwo typu fabrycznego, co mnie właściwie przeraża. Jesteśmy gotowi jednak podjąć walkę z wygodnictwem budowniczych o właściwą realizację naszych założeń.

Po wojnie opuszczone domy i zagrody zajęli osadnicy z okolicy. Ich własnie nazywano „ptokami”. „Krzoki” to obywatele Łęcznej z dziada pradziada. Na Śląsku przybyłych spoza tego regionu do pracy nazywa się „góralami”, albo „werbusami”. Teraz zamieszkali w Łęcznej górnicy doczekali się, otrzy-

zwyczaj i obyczaje starych mieszkańców miasteczka, którzy jednak stanowiąć będą zaledwie 5 proc. obywateli przyszłego miasta. To nowi zechcą zmajorzować zapewne tych, których tu zastaną. Jednak pragnienie tego, by zachować i przeschepić możliwie najwięcej z tradycji, liczącej sobie ponad pięć wieków, jest godne życziwego poparcia. Myślę jednak, iż trzeba być przygotowanym także i na to, że wraz z nowymi ludźmi nowe wkroczy do środowiska. Trzeba będzie je przyjąć równie serdecznie, jak zamierza się pielęgnować stare. Może z tego powstać interesujący stop kulturowy.

Tadeusz Jasiński

Dwieście osób, które znajdzie się w sali Pompejańskiej, powinno czuć się dobrze, prawie prywatnie i swojsko. Atmosfera, którą stworzy się przed wejściem do sali, może mieć duży wpływ na całość przedstawienia, które jest przecież w dużej mierze uzależnione od udziału publiczności, zauważyła Barbara Parobczak, publicystka „Tygodnika Kulturalnego” i autorka ciekawego scenariusza (skąd cytata) imprezy pt. „Puławy wczoraj, dziś i jutro”, która odbyła się 18 maja w sali Urzędu Miejskiego. Niekonwencjonalność widowiska polegała na tym, że dwóch aktorów lubelskich, występując w roli „obrońcy” i „oskarżyciela”, przedstawiło Puławę, głównie ich kulturę, sprzed lat i dzisiejsze. O trafności ich opinii wyrokowała publiczność, głosząc przy pomocy „lizaków”. Całość urozmaicały występy zespołów artystycznych. Słowem: dobry pomysł. Proszę zwrócić uwagę na brak referatu i odrębną część artystyczną, z satysfakcją informował dziennikarzy Stefan Filip, działacz Frontu Jedności Narodu w Puławach.

Tymczasem zamiast przewidywanych dwustu osób w sali Pompejańskiej pojawiło się raptem czterdzieści, może trochę więcej, czyli tyle samo, ile przyszło do klubu „Mozaika” Puławskiego Ośrodka Kultury (dawny PDK) na spotkanie z Ryszardą Hanin. Całkowicie zawiedli dyrektorzy zakładów pracy i przewodniczący rad zakładowych, od których zgodnie z protokołem i dla pewności, wysłano imienne zaproszenia. Zdecydowaną większość publiczności stanowili ludzie z branży: pracownicy placówek kulturalnych.

Wydaje się, że niepomniernie bardziej „zintegrował” opinię miasta reportaż o byczajowy Stanisława Harasimiuka na temat życia handlowo-erotycznego puławianek skupionych wokół hotelu „Izabella”, gdzie w związku z imponującym rozwojem tutejszego przemysłu często gościła „dewizowcy”. Podobno tekst

przepisywano z „Tygodnika Kulturalnego” (!) — długopisami i na maszynie.

Wartości rodzimego chowu zdają się nie wszystkim odpowiadać w Puławach, co ostatecznie można zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę głównie amatorski charakter uprawianej tu twórczości i wyrafinowane, powiedzmy, gusta niektórych obywateli. Mieszane uczucia budzi przecież fakt, że na występy renomowanego kabaretu stołecznego nie udało się sprzedać ani jednego biletu pracownikom IUNG i Instytutu Weterynaryjnego, którzy — tu trumienka leży — na głowie stają, aby dostać się na przedstawienie tegoż kabaretu, ale w jego warszawskiej siedzibie! Więc naukowcy nie chcą bratać się z puławską „resztą”? Nie jest to taka oczywista sprawa, skoro pracownicy innej placówki naukowej, Instytutu Pszczelarskiego, chętnie i licznie korzystają z wszelkich ofert instytucji zajmujących się upowszechnianiem kultury. Może dlatego, że z profesjonalnej natury mają większe poczucie wspólnoty (pszczoła owad kolektywny), najpewniej zaś dlatego, że Instytut powstał stosunkowo niedawno, a tym samym nie zdążył wejść w lokalne układy towarzysko-prestiżowe.

Ludzie są dziś leniwi, wolą siedzieć przed telewizorem, niż wyprawić się na publiczne imprezy. Jedynym magnesem są okrzykane zespoły estradowe i głośnie nazwiska artystów, twierdzi działacz kulturalny. Więc administracja i Puławski Ośrodek Kultury, działający wyjątkowo sprawnie pod kierownictwem Wandy Meler (absolwentki pedagogiki specjalnej na UW), spruwadają do miasta rzeczy możliwe najlepsze, a przynajmniej renomowane, korzystając ze stałej współpracy z Warszawskim Towarzystwem Muzycznym, Filharmonią Lubelską, Piwnicą „Pod Baranami”, „Erefem” i innymi kabaretami. Są to imprezy dość kosztowne, na wet nowe gwiazdy naszej kultury masowej, sportowcy domagają się za występ 2000—2500 zł. I nie przyjadą, jeśli nie zapewni się im dwóch

czy trzech spotkań dziennie. Pewna olimpijka występuje razem z mężem, który choć do „gwiazd” się nie zalicza i jest raczej małowówny, też swoje bierze.

Na tego rodzaju imprezy ludzie przychodzą, czasami z ciekawości, aby zobaczyć „tego z telewizji”. Premierowe przedstawienie ambitnego teatru jednego aktora może liczyć na frekwencję, następne już nie. Na recital Dietera Arensa oddział Narodowego Banku Polskiego zakupił 20 biletów, IUNG — ani jednego. Inteligencję Puław uciążliwie jeszcze ze środowiskiem instytutów naukowych, co wydaje mi się nieporozumieniem. Czy „wąskiego ma-

śli o integracji naszego społeczeństwa, każdy, kto pracuje w kulturze.

Mając na uwadze ową integrację, popiera się w Puławach młode, rozwijające się dopiero środowisko twórcze, wiele sobie obiecując po jego działalności. Świadczą o tym możliwości wydawnicze, jakie stworzone Towarzystwu Przyjaciół Puław, które firmuje m. in. „Tekę Puławską”. „Tekę” ubiegłoroczna ukazała się pod redakcją Waldemara Wojciecha Bednarskiego i Bohdana Zadury, przynosząc teksty obu wymienionych autorów oraz Waldemara Siemińskiego, Danuty Sawickiej-Berbeciowej, Pawła Gem-

SAMOCHÓD

BEZ BENZYNY

glstra” można zaliczyć do owej elity intelektu i czynu?! A czy ktoś ze średnim wykształceniem, lecz z odpowiednim horyzontem umysłowym, nie nadaje się do tej grupy?! — pyta pracownik administracji państwowej. Raczej retorycznie.

Wydaje się, że władze miasta podchodzą do spraw kultury ze zrozumieniem i racjonalnie. Nie chciałbym mitologizować tego drobnego odruchu zastępcy naczelnika, S. Jędrycha, ale coś to chyba znaczy, jeśli wyjmując z biblioteczki „Studia socjologiczne i urbanistyczne miast Lubelszczyzny” z 1970 roku i wskazując na zawartą w nich pracę Z. Sufina „Puławy — miasto w procesie uprzemysłowienia”, mówi on: To powinien przeczytać każdy, kto my-

bala, Wojciecha Krawczyka, Stefana Jerzego Buksińskiego, Dominika O-polskiego, Aleksego Bornusa i Janusza Szczepińskiego, Kazimierza Parfianowicza oraz Zdzisławy Konty-Zadurowej, a więc ludzi z reguły mocno związanych z miastem, uprawiających twórczość literacką, lub zajmujących się tradycją historyczną czy socjologią. Eksponuje się ponadto twórczość kilku miejscowych artystów zawodowych i amatorów skupionych w grupie „Absolwent”, która dość ostro weszła w puławskie życie społeczne, w sobie właściwy sposób podnosząc np. kwestię zagrożenia naturalnego środowiska człowieka przez przemysł. Inna sprawa, że Puławy posiadają dość skromne możliwości wystawiennicze, a jedyny pracownik delegatury

QUO VADIS ESTRADO? (III)

Produkcja przeceny

Marian Aleksandrowicz
Istvan Grabowski

WNASZYM kraju tematem ever green, etatowym chłopcem do bicia przez prasę jest przemysł fonograficzny, a właściwie to chałupnictwo, które przemysłem śmie się nazywać. Temat ten przeryto do gruntu, rozebrano na czynniki pierwsze, a sprawa nie ruszyła z miejsca ani o krok — co gorsze, postronny obserwator ma prawo sądzić, iż polska fonografia włączyła bieg wsteczny. Nie chodzi tu już o moce przerobowe, o braki w aparaturze, o wydłużony niemożliwie czas oczekiwania na płytę, bo Polak jest cierpliwy i na rzeczy dobre zawsze gotów poczekać. Cóż z tego, skoro efektem tego czekania są w większości przypadków produkty skazane z góry na kasową i artystyczną klęskę? Ale do rzeczy.

Gospodarka istniejącymi studiami nagranymi i parkiem maszynowym uraga wszelkim zasadom racjonalnej ekonomiki i polityki kulturalnej. Do wykonania rocznego planu finansowego Polskich Nagrań wystarczy jedna płyta ABBY — reszta, zdaniem szefów firmy, może się w ogóle nie rozchodzić. Przyjrzyjmy się temu, co zatwierdzają do wydania komisje artystyczne (bo takie muszą przecież istnieć) Muzy, Pronitu i Tonpresu. Oto w ostatnich miesiącach uraczono nas „wspaniałymi” edycjami w rodzaju „Horoskopu”, „Za zdrowie pań”, „Zdrowia, szczęścia, pomyślności”, a komu jeszcze i tego mało, może bez kłopotu zachwylić się dużymi krążkami Wiktora Zawatwarskiego, Edwarda Hulewicza czy Isabelas Vocal Group. Niestety, nie są to jeszcze szczyty indolencji artystycznej komisji kwalifikacyjnych Polskich Nagrań, gdyż od czasu do czasu zdarzają się buble jeszcze szkaradniejsze, jak choćby, nie przymierzając, „Polska gola” (wydana notabene w dwa lata po piłkarskich miszrostwach świata) czy dyski K. Krawczyka, J. Lecha i Waweli. Mógłby ktoś pomyśleć, że członkowie wspom-

nianych komisji wylączają uszy i głowę podczas oceny nowych nagrań. Jest jeszcze gorzej, ponieważ to ciało, z pełną premedytacją forując bezwartościową chałę, równocześnie blokuje skutecznie dostęp do studia ludziom, którzy na nagranie już dawno zasłużyli. Dla przykładu — Skaldowie czekają na nowy krążek pięć lat, tyleż samo Magda Umer. Od trzech lat nie mogą nagrać Grechuta i Woźniak, a Leszek Długosz i Maciej Zembaty pukają do bram szacownego przedsiębiorstwa od początków swej kariery. Smutną rekordzistką jest tu bez wątpienia Ewa Demarezyk, która swoją pierwszą i zarazem ostatnią płytę nagrała dokładnie dwanaście lat temu (sic!). I nawet międzynarodowe sukcesy artystki nie są w stanie przelamać niechęci komisji kwalifikacyjnej!

Uważny nabywca produktów Polskich Nagrań zwrócił zapewne uwagę, że większość płyt wydawanych w ostatnich latach idzie po pewnym okresie zalegania na półkach księgarskich pod miotek przeceny. Publiczność nasza jest już tak „wychowana”, że wie dokładnie, co warto kupić zaraz, a co dopiero po przecenie. Truizmem byłoby twierdzenie, iż najpoważniejszym nabywcą czarnych krążków w każdym kraju jest młodzież i przede wszystkim do niej adresują swe produkty wielkie koncerty fonograficzne. U nas jest cokolwiek inaczej. Polscy fani skazani są bądź na poddanie się szalonym sumom czarnego rynku za jakakolwiek płytę zachodnią, bądź kupowanie „niczego” po cenach państwowych.

Płyta gramofonowa po opuszczeniu tłoczni staje się towarem takim samym jak buty, meble czy telewizor — towarem, który u nas, o ile jest wartościowy, pójdzie nawet bez zbyteknej reklamy. Jako przykład podsuwamy choćby płyty Niemena, których repertuar niemal do ostatniej chwili utrzymywany jest w tajemnicy, a mimo to błyskawicznie znikają z półek. Zatem zapotrzebowanie na dobrą muzykę jest duże i to nie tylko na łatwe dyskotekowe przeboje typu Boney M., ale także na jazz, kabaret i poezję śpiewaną. Musi być jednakże spełniony przy tym warunek podstawowy: w myśl zasady, że kultura socjalistyczna jest kulturą wycho-

wującą, muzykę adresowaną do młodego słuchacza powinna cechować najwyższą jakość. Twierdzenie, iż młodzież nie zna się na muzyce i można jej weśnąć każdy kit, jest najwykolejszą bzdurą. Czym bowiem jeśli nie wysokim poziomem wiedzy muzycznej i wyrobieniem młodych słuchaczy da się wytłumaczyć ogromną popularność Pink Floyd, Tangerine Dream, Yes, Genesis czy Procol Harum? A przecież muzyka tych formacji uchodzi za szczytowe osiągnięcia awangardy beatowej.

Polska fonografia ma dwoje „niekochanych dzieci” — poezję śpiewaną i jazz. Seria Polish Jazz wydawana z ogromnym opóźnieniem nie obejmuje bieżących produkcji najlepszych muzyków i grup. Leszek Ządoł, Tomasz Stańko, Zbigniew Seifert czy Michał Urbaniak bardziej dziś mogą liczyć na firmy zachodnie. Co się zaś tyczy poezji śpiewanej przyznać należy otwarcie, iż te dziedzinie twórczości Polskie Nagrania po prostu znokautowały. Do tej pory odbyło się — bagatelka (!) — czterdzieści festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich, z których nie nagrano ani jednej płyty!

Sprawą osobną jest sposób sprzedawania płyt, a więc magazynowanie i aparatura odtwarzająca w sklepach. Bardzo często, jeśli już nie nagminnie, krążki leżą bez kopert i koszyków, a bywają odtwarzane na życzenie klienta (o ile gramofon nie jest zepsuty) na fatalnym charakterze i trzeszczącym sprzęcie. Jedyny wyjątek u nas to lubelski Monolux, ale ten potwierdza tylko regułę. Skądinąd sympatyczne ekspedientki grzeszą często całkowitym brakiem wiedzy muzycznej, nie potrafiały polecić młodemu nabywcy wartościowej porcji. Stąd często dochodzi do paradoksu, że dobre płyty plecią się w magazynach, zaś witrzyni zdoła uśmiechnięte twarze drugo- i trzeciordernych piosenkarzy.

Pozytywnie na tym tle wyróżniła się dwie młode ekspedientki księgarni przy ul. Kunickiego, rekomendujące klientom to, co mają najchętniej. I właśnie tam atrakcyjne płyty rozechodzą się najszybciej.

Skoro jesteśmy przy sprzedawaniu płyt warto zwrócić uwagę na okładki. Mówi się wciąż o niskim poziomie przemysłu poligraficznego, zajmującego się ich drukaniem, a problem tkwi przecież gdzie indziej. Koperta longolava ma do spełnienia ważną rolę: powinna ciekawym pomysłem graficznym bądź fotograficznym zachęcić potencjalnego melomana do sięgnięcia po portfel. Nie rozkładać się już nad rzutki i Anglikami i Amerykanami, popatrzmy tylko na nasze bratanek od szabl i szklanki, którzy ubierają produkcje swoich Omet i Locomotivów w żywe kolory i ambitną artystyczną grafikę. Nasze przeważnie brązowo-czarne homazy czy upozowane bużki w złoczystych ramach miast zachęcić, wywołują uczucia niesmaku. A przecież mamy znakomitych fotografików i rysowników, jak chociażby Paweł Karpiński, Marek Karłowicz, Jan Sawka, Waldemar Świercz czy Edward Lutczyn, którzy nawet mało wartej płycie dodaliby blasku.

Kolejne dwukreacje Polskich Nagrań zapowiadała zmiany, groźne nawet rewolucja burzowa od podstaw stare porządki. Wieloletni klienci wiedzą jednak swoje: czekaj tatka latka...

BWA urzęduje w pokoju Wydziału Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego.

W mieście założycielki pierwszego na ziemiach polskich muzeum takiej placówki dziś nie ma — na ten cel adaptuje się dopiero budynek dawnego szpitala przy ul. Czartoryskich — więc trudno posłużyć się rozwiązaniem np. Chelma, gdzie organizacją wystaw sztuki współczesnej zajęła się Muzeum Okręgowe. W tej sytuacji trudno przecenić pomysł Andrzeja Mejnartowicza, który w hali Urzędu Miejskiego urządza stałą galerię plakatów, „bo tam codziennie przechodzą setki ludzi”. Otwarta w grudniu minionego roku wystawa prac Starowiejskiego, galeonia działa tymczasem w bardzo skromnych warunkach, ale już jest gotowy projekt aranżacji pomieszczenia. Istotne przy tym, że zbiory własne Wydziału Kultury liczą 200 plakatów i są stale wzbogacane, m. in. drogą zakupów w warszawskiej „Desie”.

Możliwość wystawiennicze i w ogóle baza lokalowa puławskiej kultury zwiększą się znacznie po ukończeniu budowy „Domu Chemika”, w którym poza osobnym pawilonem ekspozycyjnym przewidziano salę widowiskową na 600 miejsc, a więc dwukrotnie pojemniejszą od obecnie użytkowanej sali w Domu Nauczyciela, jedynej w mieście. Ciągająca się latami, kilkakrotnie wstrzymywana inwestycja (przez co kosztująca znacznie więcej niż zakładano) — może okazać się ostatecznie kolejnym szczęściem Puław. Może, ale nie musi. Już półtora roku temu „Azoty” dały do zrozumienia, że chętnie prześlą „Dom Chemika” administracji miejskiej, albowiem nie stać ich będzie na utrzymanie obiektu, który zresztą służyć ma całemu społeczeństwu. Miasto jednak bez entuzjazmu przyjęło tę propozycję: kasa magistracka nie jest nastawiona na tak wysokie wydatki. Przypominając przy tej okazji ideę socjalistycznego mecenatu wielkiego przemysłu nad kulturą, tak szeroko zmaterializowaną niegdyś właśnie przez Zakłady Azotowe — gospoda-

rza ogólnopolskiego sympozjum plastyków i naukowców, można by to i owo wytknąć fabryce. Sprawa jest jednak dość skomplikowana, a najlepiej ilustruje to przypadek hali sportowej tychże „Azotów”.

Udatnie zaprojektowana przez Wojciecha Zabłockiego, mieszcząca także basen pływacki, oddana została do użytku w listopadzie 1974 roku. Było to wielkie wydarzenie, świętowane przez całe Puławy, wielokrotnie opisywane przez prasę. Ale upłynęło zaledwie kilka miesięcy, kiedy „Azoty” odechciało się zabawy w mecenasa. Okazało się bowiem, że roczny koszt utrzymania obiektu przekracza 3 miliony złotych, a wpływy z wynajmowania hali różnym klubom sportowym, na ogół spoza Puław, dają zaledwie 500 tysięcy. Te kilka milionów dla zakładu wielkości „Azotów” byłoby drobniakiem, gdyby można je czerpać z funduszu obrotowego, co w myśl obowiązujących przepisów jest niemożliwe. Takie obiekty, jak owa hala, finansuje się z funduszu socjalnego, w głównej mierze przeznaczonego na organizację kolonii, wczasów dla załogi etc. Hala kosztuje 3 miliony (w tym roku zanoszą się na 4), utrzymanie „Domu Chemika” pochłaniałoby zapewne ponad 5 milionów, więc o takie właśnie kwoty automatycznie zmniejszają się środki przeznaczone np. na wczasy. Rocznie na wczasy dla jednego pracownika przypada w „Azotach” 700 zł, podczas gdy inne zakłady puławskie mają na ten cel 1100—1200 zł, co ludzi denerwuje, tym bardziej że wszyscy tu wiedzą o wielkim wkładzie fabryki w budowę nowych Puław.

Edward Lizak, wicedyrektor ZA do spraw administracyjno-socjalnych, operuje innymi jeszcze argumentami, przemawiającymi za przekazaniem hali w administrację miasta. Otóż, przypomina, obiekt był realizowany jako inwestycja wspólna i tylko w jednej trzeciej kosztów partycypowały „Azoty”. Ponadto klasy pływackie miejscowych szkół korzystają z basenu bezpłatnie, a młodzież trenująca w różnych sek-

cyjach klubu zakładowego „Wisła” to niekonieczne dzieci pracowników „Azotów”. „Dlaczego więc tylko my ponosimy koszty utrzymania hali, dlaczego inne zakłady pracy nie dołożą co nieco z własnej kasy?”

Argumenty te wydają się w gruncie rzeczy być racjonalne, uzasadnione. Ale kontrargument władz miejskich także jest niepodważalny: nie mamy środków.

Sprawa walczy się dwa lata, trafiła do województwa, do Ministerstwa Przemysłu Chemicznego, do odpowiedniego zjednoczenia. Na samym początku wydawało się, że uda się ją rozwiązać drogą specjalnej dotacji dla miasta z budżetu centralnego. Nic z tego nie wyszło. Dodatkowo komplikuje problem stanowisko Zarządu Głównego Związku Zawodowego Chemików, który jest „zdecydowanie przeciwny” przekazywaniu „obiektów socjalnych jednostkom wyspecjalizowanym”. I jak tu wybrać z tej sytuacji? A co będzie z „Domem Chemika” po zakończeniu jego budowy? Stanie się zabytkiem modelu życia nad stan? Bo czy Puławy nie przypominają miejscami faceta, który kupiwszy samochód nie ma na benzynę? W tym coś jest, choć na pewno nie ma rozwiązania problemu.

Niedawno w Puławach z inicjatywy władz partyjnych powołano Radę Patronacką KS „Wisła”, w której skład weszło bodaj 35 dyrektorów tyluż zakładów pracy. Zobowiązali się oni do kierowania 10 proc. funduszu socjalnego na cele klubu, który skupia 400 zawodników i przeżywa kłopoty finansowe, a prowadząc w większości mało widowiskowe sekcje (dżudo, podnoszenie ciężarów) nie dorobił się liczniejszej rzeszy kibiców. Nawet na mecze piłki nożnej przychodzi 100, najwyżej 1000 osób, choć są nadzieje na lepsze wyniki, jako że drużyna weszła do ligi międzywojewódzkiej. „Ogół pracowników Zakładów Azotowych mało interesuje się sportem także dlatego, ponieważ są to ludzie z różnych stron kraju, nie stanowiący jeszcze śro-

dowiska”, komentuje Jan Rusin, wicedyrektor ZA do spraw ekonomicznych i prezes „Wisły”, któremu marzy się przekształcenie Puław w ośrodek przygotowań olimpijskich.

Rada Patronacka działa: na cele klubu przekazano kilkaset tysięcy złotych. Jedni dają mniej, drudzy więcej, a niektórzy dają tylko pod presją moralną władz i innych zakładów pracy. Ale jakoś to jest. A wspominam o tym przyczynku do puławskiej integracji dlatego, ponieważ widzę w nim przesłanki do rozwiązania kwestii „Domu Chemika” — metodą tzw. międzyzakładowej zręczki na wspólny, było nie było, interes, w której uczestniczyłyby rzecz jasna „Azoty”. Inna sprawa, że jeśli resort przemysłu chemicznego znalazł pieniądze na inwestycję, to mógłby też znaleźć środki na jej eksploatację. Tym bardziej, że do budynku przeniesie się na pewno Zakładowy Dom Kultury „Azotów”.

Hale i pływalnię powinny jednak „Azoty” nadal utrzymywać. Taki wniosek podsuwa pewien „drobny” fakt (kosztujący kilkanaście milionów), o którym dopiero teraz wspominam. Otóż obok kontrowersyjnego obiektu zakład kończy budowę hotelu dla sportowców (około 80 miejsc), który razem z halą stanowić będzie funkcjonalny ośrodek przygotowań olimpijskich, wyznaczony przez „Azoty”. Inwestycja ta i plany z nią związane przesądzą sprawę.

Rozumiem, że rozwiązania te wydają się proste tylko na papierze, a poza tym nie uwzględniają zapewne szeregu innych okoliczności. Wiem jednak jedno: w Puławach zanoszą się na sytuację paradoksalną, do której nie można dopuścić, jeśli sprawy szeroko rozumianej kultury oraz integracji społecznej w mieście traktuje się na serio, z pełną odpowiedzialnością. Nadzieja w tym, że stosunki między władzami a dyrekcją Zakładów Azotowych układają się dobrze — po raz pierwszy od kilku lat.

Ireneusz J. Kamiński

DESZCZ...

Fot. Waldemar Stępień





Fot. W. Stępień

Stefan Wolski

LATO

Lato
nasycasz mnie słońcem
wodą chłodzisz miękko
i ciało brązem opinasz

Falo życzliwa wodo grająca
szczytem pianistym wynosisz mnie w górę
a ja śmigam ślizgami przechodzę
aż do piasku dennego gdzie żwir
sławia chórem stu i tysiąclecia
czerwonym sopranem
lub basem
tam znów białym tenorem z Izą smutku

Gdy z dna skokiem wypływasz do góry
gdy twe loki rozwichrzam ramieniem
i stopami rytm ślizgu wyznaczam
milknieś oddech wstrzymujesz i czekasz
a za chwilę na rękach mnie niesiesz
i znów spychasz w kotliny i doliny
żeby mruścić gdy płynę wraz z tobą

Falo życzliwa wodo grająca
nagle wdychasz i wolisz
mój gościu
z wielkich równin gorących i pływających
albo stamtąd gdzie słońca z wysoka
ławą jodeł spływają w doliny
przynies z sobą krągły bochen chleba
prosto z pieca pachnący jak zboże
przynies masło i cukier z Lublina
sól z Wieliczki i mleko z nad Buga
ja tu stoły zastawię zielone
w kryształ ranków lot mewy oprawię
i ryb mnogość z głębin przywołam

Falo życzliwa wodo grająca
oto na kolach razowych i pszennych
lipca pełen i sierpnia trud wolam
w lata dzwonię dojrzałym zasiądnę
złotożniwym
pełnochlebnym
polskim

Lato bałtyckie lato nadbużańskie
albo gdzie jodeł niskospad wysoki
czy też gdzie Giewont białym cumulusem
osusza skronie i przeciera oczy
szczytem poezji wynosisz mnie w górę
skąd widać kraj mój od krańców po krańce
a wszędzie miłość
początek
i koniec

Jerzy Jedyniak

Jesteś cała lasem
gdy wilkiem patrzysz
i w matecznikach
chowasz marzenia

W kniei twych włosów
słońce gniazdo wiję
świtem
zapada zmierzchem

Mrówki
drążą nowe ścieżki
w naszym
kopcu wspomnień

Na polanie ciszy
kwiaty uśmiechów
rosną zachlannie

Cała lasem
jesteś
w oczu uroczyskach

Teraz oddycham lasem
po miejsku
zachlannie
na polanie ciszy
rozbilem szalas

Śmigłowce świerków
szumiące w błękitach
postawiłem na straży
pamięci

Ptaki myśli wysłałem
poleconym do miasta
pod jałowcami tropię
czerwone poziomki

Jest las
w jego dostojność
wchodzę praprzodkiem
pełen lęku
zielonych oczu rysia
odnajduję zapachy
barwy smaki i dźwięki

Za miesiąc
będę głuchy
na śpiew kanarka
a mój pies
nie wytropi
drogi do miasta

Zenon Dunajczyk

ZAPISY

Pamięci Rafała Wojczaka

Uważaj — na krawędzi strach jest już
wyborem; szansy na okoliczność łagodzącą
nie ma — to znaczy upadek może być
nadzieją

Widzisz — włókno nie sięga włókna ani
krew do krwi nie chce spłynąć w czasie
i przestrzeni; przecucie — to jest dana
całość

Uporzeczywie wybierasz miejsce dla symbolu —
powtórnego powstania w oszustwie a więc
w czym innym dla czego innego i gdzie
indziej

Gromadzisz kamienie i ścinasz drzewa słów tak
by gest ponad rękę i ślad ponad obecność
wymieść — dolożyć starań aby zawsze być
nie tam

Dopiero pogodzony w wymiarach naszej
pamięci — przeciwny materii i uciążliwej
teraźniejszości — jesteś prawdziwie obecny po sobie

RZECZY

Cicho jest w moim domu
i tylko słyszę uciekające chwile
niemą muzykę przedmiotów
coraz bardziej uwierających mnie
od wewnątrz

W ich zużywającej się funkcjonalności
jest ukryty strach i zniszczenie

Stół służy mi do pisania i jedzenia
krzesło podpira moją ociężałość
leżanka urabia sny i marzenia
filiżanka łyżka talerz dzwonią na posilek
lampa zazdrośnie strzeże dnia
szafa kryje maski i przebrania
kranie wanna sedes pilnują fizjologii
książki odmawiają różaniec mądrości
nawet ściany zatraskują moją obecność
i czekanie — na glucho

Przecież ja nie mam ani jednej rzeczy
ani jednej rzeczy najmniejszej i zbędnej;
którą bym kochał tylko dla niej samej
i której bylbym naprawdę potrzebny

Stanisław Sadurski

ŚRODA: PODRÓŻ ALBO MISTERIUM GODZINY

Godzina w tym zmierzchu gdy
wyjeżdżaliśmy rozsuwała kurtynę
następnego przedstawienia
w głowach podróżnych

Twarze przypięte do
okularu szyb oddawały się
bezwiednie kolejnemu
aktowi natury
c Rozneglizowanej białej Ziemi
dającej popis strip-teasu
w rytm wagonowego bluesa

Było w tym coś z misterium

na płatkach mijanych domów
w tej godzinie o cierpkoci
cytryny
zostawały wypłute niedopalki dnia

w połowie życia
w środku śmierci

można je było wziąć
za egzotyczne ptaki

KIEDY to marzyliśmy o czasach, w których „traktory podbiją wiosnę”? Tymczasem rolnicy przesadzają się już z traktorów na samoloty. W coraz większym stopniu nawożenie pól, opryskiwanie upraw środkami owadobójczymi odbywa się z powietrza. W języku pilotów pojawia się nieznaną dotąd terminologia, a na półkach ich domowych bibliotek stoją książki traktujące o chemizacji czy mechanizacji rolnictwa. Minęły czasy, kiedy mało który lotnik zdolny był odróżnić tuczoń od bobiku...

W kraju i za granicą pracuje na roli ćwierć miliona polskich samolotów z Okęcia, a oto rosnie już groźny konkurent: Wydział Usług Agrolotniczych w Świdniku ze swoimi helikopterami, cecnującymi się ogromną dynamiką rozwoju. Istnieje dopiero niespełna trzy lata, a rolnicze helikoptery znane już są w całej Polsce.

„Robotnik Rolny” pisał w jednym z numerów z listopada 1976 r.: *Nadszedł (...) czas włączenia do produkcji rolnej agrolotnictwa, przy czym praktyka zaczyna dowodzić, że w rolnictwie nie mniej — a może i bardziej przydatny niż samoloty jest helikopter.* Gazeta przytacza przykład Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych w Pyrzycach, w woj. szczecińskim, w którym wynajęty w WSK Świdnik śmigłowiec... w ciągu pierwszych sześciu godzin pracy wysiał nawozy na 70 hektarach pól przygotowanych pod zasiew rzepaku — znacznie więcej niż mógłby wysiać samolot w tym samym czasie. A „Głos Pomorza” donosi z entuzjazmem, że pilot innego helikoptera ze Świdnika, Jerzy Dyczkowski, ustalił właśnie swoisty, życiowy rekord: w ciągu jednego dnia pracy w gospodarstwie Swierczyńska podrywał w powietrze swoją maszynę aż 128 razy. W kilka godzin wysiał na pole ponad 90 ton nawozów. Przeciętnie dziennie rozsiewa po 50—60 ton. [...]

W idealnych warunkach śmigłowiec rolniczy może w ciągu jednego dnia rozsiać 100 ton nawozów mineralnych lub dokonać opryskiwania środkami owadobójczymi na obszarze 1500 hektarów. Dwa umieszczone po bokach śmigłowca zbiorniki mogą pomieścić po 350 l nawozów sztucznych lub owadobójczych pestycydów. Przy rozsiewaniu nawozów pilot prowadzi maszynę 30 metrów nad ziemią; przy opryskiwaniu leci na wysokości 2—3 metrów. Po czterech minutach lotu zbiorniki są puste. Trzeba wracać po nowy ładunek. Napelnianie zbiorników trwa przeciętnie około jednej minuty. I znowu w powietrze. Mordercza, jednostajna, niebezpieczna praca!

Pilot zdany jest przede wszystkim na samego siebie. W maszynie nie ma poza nim nikogo. Z ziemi lot obserwuje uważnie dwóch mechaników. Ci trzej ludzie to właściwie cała „baza agrolotnicza”, pracująca gdzieś daleko w terenie, często z dala od uczęszczanych szlaków komunikacyjnych, zagubiona wśród pól uprawnych. Zaczynają pracę już pod koniec lutego, kończą — w listopadzie. Zastępują pracę 15 traktorów z odpowiednimi maszynami rolniczymi. W przypadkach szczególnych, wymagających bardzo szybkiej interwencji, jak np. atakującego sady parcia jabłoniowego, helikopter zastępuje 40 traktorów ze specjalnym oprzyrządowaniem! Czy więc można się dziwić, że wielkie kombinaty rolne dobijają się o świdnickie śmigłowce?

Kiedy mgr Ryszard Kosiół organizował Wydział Usług Agrolotniczych, miał go dyspozycji zaledwie trzy maszyny. Dziś śmigłowce pracują w piętnastu bazach polskich i pięciu zagranicznych. Do końca 1977 r. liczba tych baz wzrosła do dwudziestu pięciu. Ale Centralny Zarząd Państwowych Gospodarstw Rolnych zgłasza zapotrzebowanie na prawie sto helikopterów w 1978, a na 158 w 1982 roku!

Ryszard Kosiół jako jeden z pierwszych polskich pilotów latał w początku lat pięćdziesiątych na dwupłatowych samolotach Po-2 opylających lasy zaatakowane przez szkodniki. Była to w owych czasach w Polsce zupełna nowość i rolnicy ze zgrozą czytali zrzucane z samolotów ulotki, informujące o mającym wkrótce nastąpić „truciu” lasów. Ale nie byliśmy wówczas wcale tak bardzo opóźnieni w porównaniu ze światowym agrolotnictwem. Wprawdzie pierwsze próby wprowadzenia samolotów do rolnictwa sięgają już 1911 roku, wprawdzie zaczęto mówić głośno o agrolotnictwie w niektórych krajach na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, ale naprawdę dopiero po drugiej wojnie światowej nastąpił dynamiczny rozwój usług lotniczych w rolnictwie. Połęgami zaczęły się stawać przede wszystkim Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Dzisiaj na całym świecie zatrudnionych jest w rolnictwie około 24 tysięcy samolotów i śmigłowców, operujących na

obszarze ponad półtora miliarda hektarów!

Mimo ubocznych skutków powodowanych przez nawozy sztuczne, jesteśmy dzisiaj zmuszeni do coraz intensywniejszej chemizacji rolnictwa. Stosowanie nawozów sztucznych podnosi wielokrotnie plony, a to ma ogromne znaczenie w sytuacji, w której, w związku z gwałtownie wzrastającą populacją, ludzkości zaczyna grozić widmo głodu. Według statystyk FAO, w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba ludzi na świecie cierpiących głód i odczuwających na sobie skutki niedożywienia — wzrosła z 300 do 450 milionów. Futurologi obliczają, że jeżeli dotychczasowemu przyrostowi ludności nie będzie towarzyszył

czaj w Las Vegas. Mówi, że dopiero na tej konferencji uzmysłowił sobie z całkowitą jasnością, jaki ogromny zasięg zaczyna obejmować agrolotnictwo. W obradach brało udział trzy i pół tysiąca osób, omawiano szereg metod stosowanych w agrolotnictwie, prezentowano najnowsze osiągnięcia przemysłu lotniczego produkującego dla potrzeb rolnictwa. Obok samolotów były również śmigłowce. Właśnie wówczas zaraził się agrolotnictwem po raz wtóry.

W latach pięćdziesiątych rozpoczął się dynamiczny rozwój lotnictwa śmigłowcowego. Z każdym następnym rokiem ta dynamika zwiększała się. W 1960 r. np. w USA i Kanadzie działało 318 przedsiębiorstw użytkujących śmi-

głowce. Lotniakiem może być każde wybrane przez pilota miejsce, byle dotarła do niego ciężarówka z zapasem środków chemicznych. Jest mało wrażliwy na zła warunki meteorologiczne, nie przeszkadzają mu rozprawy wiosenne ani jesienne szarugi, które zamieniają samolotowe lotniska w grząskie bajora. Ogromna zwrotność, a także możliwość zredukowania nawet do zera szybkości lotu — wpływa dodatnio na równomierność nawożenia. I wreszcie — strumień podwrotnikowy śmigłowca może — w miarę potrzeby — „wbijać” niejako środki chemiczne w glebę. Lubelscy agrolotnicy próbowali nawet siać przy pomocy helikopterów żyto i trawę i chociaż te eksperymenty, przeprowadzane w kraju i w Iranie, nie zostały jeszcze ostatecznie zakończone, to już teraz można mówić o obiecujących wynikach.

Sektor uspołecznionej gospodarki rolnej posiada dzisiaj w Polsce 3250 tys. hektarów użytków rolnych, a w ciągu najbliższych pięciu lat ilość ziemi, na której będą gospodarowały wielkie kombinaty rolnicze i pegeery, wzrośnie prawie do 4 milionów ha. Coraz więcej w tych kombinatach i gospodarstwach ludzi, którzy swoją kierowniczą praktykę odbywali w ogromnych gospodarstwach na Wschodzie i na Zachodzie. Ci ludzie zetknęli się już nie jeden raz z agrolotnictwem i przekonali się naocznie o korzyściach, jakie ono przynosi. Nie ma więc chwili wyciszenia dla świdnickich agrolotników i tylko należy im życzyć, żeby rozwój Wydziału Usług Agrolotniczych i zapleczka technicznego szedł w parze z zapotrzebowaniem.

Jeszcze tak bardzo niedawno temu zaczęli pierwsze próby w województwie opolskim, na polach kombinatów rolniczych: Koźle, Kietrz i Głubczyce, a dzisiaj latają do Iranu, Iraku, Syrii, Egiptu i Libii. Ale przede wszystkim pracują w kraju. W 1976 r. odbyli nad polskimi polami 35 780 lotów, a tylko w pierwszym półroczu tego roku — 54 225 lotów. To znaczy, że na obszarze 366 433 hektarów wysiali ponad 31 tysięcy ton nawozów i więcej niż 2 tysiące ton pestycydów.

Kierownik i organizator całego tego „latającego pegeeru”, mgr Ryszard Kosiół, człowiek, który przed laty chyłkiem wymykał się na lotnisko z domu rodziców, Moniki i Maksymiliana Kosiółów, a którzy później pomagali mu jak mogli w zdobyciu zawodu lotnika, otóż Ryszard Kosiół twierdzi, że nie zdołałby należycie rozkryć Wydziału bez pomocy zespołu ofiarnych, pełnych zapału lotników, dla których — jeżeli zajdzie tego potrzeba — tydzień może stać się dzielną na dni pracy i na niedziele.

Mgr inż. Zbigniew Michałek, dyrektor kombinatu PGR Głubczyce, człowiek znany większości Polaków z telewizyjnej audycji „Wszystko za wszystko”, pisze z dalekiej Opolszczyzny do Ryszarda Kosiola list o jego latających rolnikach:

Głubczyce, 18.11.1976 r.

Skończyła się pogoda, ale również i latanie, i zrobiło się smutniej. Jaśniejszymi momentami okazują się wtedy podsumowania udanych prac, do których zaliczam również prace śmigłowcem.

Zrobiliśmy w tym roku więcej, ale i lepiej i bardziej wszechstronnie. (...) Dobrze spisali się Twoi pracownicy i jestem dla pilotów i dla obsługi pełen uznania. Bardzo Cię proszę — przekaż im to ode mnie, gdyż wariaci są nie tylko zdawkowych, uprzejmych słów.

Kombinat nam się zwiększa od stycznia o 2,5 tys. ha. (...) Zwiększy się powierzchnia pracy dla śmigłowca (...). Ułatwienia na pracy załóg i maszyny powinna być łączność radiowa, którą już w kombinacie posiadamy.

List podobnej treści wysłałem do dyrektora Lipińskiego (z WSK Świdnik — przyp. red.). Czynie to z okazji podpisywania nowych umów na rok przyszły, który oby był rokiem podobnym lub lepszym, czego Tobie i sobie życzę. Dziękuję Ci, Kapitanie.

Jedną z tegorocznych nagród, przyznawanych przez ministra przemysłu maszynowego za wybitne osiągnięcia nowatorskie i konstrukcyjne, przypadła w udziale zespołowi ludzi z WSK Świdnik. Nagrodą tą, „za zorganizowanie i wdrażanie śmigłowcowych usług agrolotniczych”, objęto również fachowców ze Zjednoczenia Państwowych Przedsiębiorstw Rolnych w Opolu.

Fruwający rolnicy

Mirosław Derecki



odpowiedni wzrost produkcji środków żywności, to za 30 lat w krajach południowo-wschodniej Azji będzie umierało z powodu braku odpowiedniej ilości protein dwóch ludzi w ciągu każdej sekundy. Obraz ponury, makabryczny i tylko dopuszczalny w teorii, ale prognozy futurologów nie zawsze się sprawdzają...

Zaden inny sposób nie zastąpi dzisiaj w rolnictwie, w tej mierze i na tę skalę — samolotów i helikopterów. W Algierii zbiera się z hektara zaledwie 6 kwintali pszenicy, a w Holandii aż 50 kwintali. Ale w Europie wkłada się w ziemię 4 razy więcej nawozów sztucznych niż w USA, a 48 razy więcej niż w Indiach! W Ameryce Północnej szkodniki niszczą ok. 14 proc. zbiorów, w Europie — 18 do 30 proc. a w Azji i Afryce — prawie 50 procent! Trudno sobie wyobrazić zapobieżenie tej sytuacji bez mechanizacji rolnictwa, a intensywnej i masowej chemizacji — bez szeroko stosowanego agrolotnictwa. Nic dziwnego, że w USA lata obecnie 8 tysięcy samolotów rolniczych; podobna sytuacja jest w Związku Radzieckim.

W 1973 r. Ryszard Kosiół jako stypendysta ONZ oraz ICAO (International Civil Aviation Organization) przebywał kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych, realizując zaproponowany przez siebie program: *Próby w locie i użycie śmigłowców w gospodarce.* Wtedy właśnie miał możliwość uczestniczenia w Międzynarodowej Konferencji Agrolotni-

głowce, w osiem lat później ich liczba wzrosła do 1023. O roli, jaką odgrywają śmigłowce w wielu krajach, często po prostu w życiu codziennym, niech świadczy fakt, że dzisiaj szkoli się w Stanach Zjednoczonych więcej pilotów śmigłowcowych niż samolotowych. Odbywają się krajowe i międzynarodowe zawody helikopterowe, a nawet istnieje międzynarodowe stowarzyszenie pilotów śmigłowcowych, popularne „Whirly Girls” („Wirujące dziewczęta”), wśród których obok pilotek zawodowych są również żony czy teściowe amerykańskich i australijskich farmerów, latające ze swych odległych farm po zakupy do miasta.

Przy wszystkich swoich „narowach” ma śmigłowiec szereg niezaprzeczalnych zalet, a do najważniejszych należy możliwość pionowego startowania i lądowania, a więc praktycznie — obywaną się bez rozumianego w dotychczasowy sposób lotniska. I to jest właśnie jedna z tych przyczyn, dla których helikopter zaczyna robić coraz większą karierę w rolnictwie. Wprawdzie na 24 tysiące maszyn rolnicze helikoptery stanowią jeszcze tylko 10 proc., ale ich udział będzie się stale zwiększał. Szczególnie w krajach o podobnym klimacie, jak posiada Polska.

W rywalizacji z samolotem śmigłowiec zwycięża przede wszystkim dlatego, że może wylądować na każdym miejscu, na każdym błotnistym polu, na zaśmieconym lub zlodowaciałym skrawku

leżą do województwa krośnieńskiego, a w lutym rejon jeziora Myszowskiego i Solińskiego złączono w obręb nowo powstałej gminy Solina, likwidując gminę Wolkowia i okrywając gminy Olszanica oraz Ustrzyki Dolne.

W dosyć pogodny dzień lipcowy od samego rana haruje po Solinie, udając przejeźdnego turystę, który chciałby się tutaj zatrzymać parę dni; przy okazji śledząc przemysłowo-turystyczne radości cywilizacyjne jednej z najbardziej uczęszczanych miejscowości w Bieszczadach.

W recepcji czterech „otwartych” domów wycieczkowych Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Turystycznego „Bieszczady” spodziewam się tłoku. Ale nie! — brak nalnych. Paniace w recepcji przerywam jakiś leniwy flirt. W domach jest 400 miejsc i wszystkie zajęte. Indywidualnych krótkich pobytów nie traktują chętnie ze względów ekonomicznych i organizacyjnych. Pracują dwutygodniowymi turnusami, wykupowanymi przez zakłady pracy już w kwietniu i maju. 200 miejsc na kwatery prywatnych też dawno rozprowadzone.

Odnajduję jedyną w Solinie restaurację, WPT-owską „Kaskadę”, gdzie zamierzam zjeść śniadanie. Sala jest wielka, lecz dla indywidualnych obywateli tylko dwa krótkie rzędy stolików bez obrusów. Reszta zakładu rezerwowana dla wczasowiczów stałych, tam już czyste obrusiki, kwiatki, serwetki, nakrycia czekają. Czuje się jak osoba pośledniejszego gatunku i zaglądam do jadłospisu, który proponuje rozmaite mięsna z chlebem, od 15 do 48 złotych; ponadto jajecznicę i omelet. Biorę na chybił trafił wołowinę duszoną z fasolką szparagową, całość o smaku pomysł, za 22 złote.

Na deser kradnę jadłospis i udaję się do kierownika restauracji, Jerzego Kluka.

- Ile ma pan miejsc w zakładzie?
- 320, ale żeby wyżywić wczasowiczów stałych, zresztą na dwie tury, dla konsumentów indywidualnych mogą zostawić najwyżej 60 miejsc.
- Pańskie obroty za czerwiec?
- 1 200 000 złotych.
- W tym wczasu i wycieczki zbiorowe?
- 932 000 złotych.
- Dlaczego brak obrusów dla konsumentów indywidualnych?
- Ludzie bardzo niszczą obrusy.
- Wołowina jest straszna!
- A jaką pan brał?
- Duszoną z fasolką szparagową.
- Danie z mrożonki, pierwszy i ostatni raz je zamawiam w chłodni rzeszowskiej, pierwszy i ostatni raz...
- Dlaczego w jadłospisie śniadaniowym konsumpcji indywidualnej brak mleka, serów, twarogów, kasz?
- Może i słuszna uwaga, spróbujemy to wprowadzić.
- Od kiedy pan jest kierownikiem?
- Dwa lata.
- Skarżą się też wczasowicze na wyżywienie — strzelam w ciemno.
- Bo nam zrobili II kategorię od niedawna. Stawka całodzienna za wyżywienie wczasowicza 90 zło-

tych, ale marża 120 procent, więc do kotła idzie tylko około 40 złotych...

Sklepy spożywcze w Solinie zamyka się o 17-18-tej, po tych godzinach w „Kaskadzie” przy stolikach „otwartych” panuje już piekło niezaspokojonych apetytów. Ale to szturmują raczej ci, którym wszystko jedno, gdzie będą spać, byleby się piwa na razie ożłopać. Sporo młodzieży, biwakującej „na dziko” w okolicach. Spotykam i takiego, który sam jeden wędruje po Bieszczadach, wprowadzie nawet bez szczoteczki do zębów, lecz z parasolem, gdyż deszczu nie lubi, a zęby są zdrowe, zresztą od częstego mycia zębów ściera się szkliwo, mówiła mu siostra z medycyny. Chłopak ma jeszcze trzysta złotych i przed sobą miesiąc wędrowki, sypia jak popadnie, najczęściej w stodolach u przygodnych gospodarzy...

Kiedy z nim rozmawiam, tłum samochodziarzy i motocyklistów opuszcza Solinę w poszukiwaniu noclegu. Jeśli przyjadą do Ustrzyk Dolnych, okaże się, iż można zanoćować dobie, dwie — w domu wycieczkowym „Laworta”, WPT-owskim zresztą, bardzo przyzwolnym, na 220 miejsc, z których część odstąpiona zakładom pracy, lecz większość rezerwowana dla turystów indywidualnych. Ta sama firma, a inne podejście do sprawy niż w Solinie. I rentowność nie nawala — jak informuje kierowniczka. W restauracji, znajdującej się w obrębie obiektu, rozsądne proporcje miejsc dla konsumpcji indywidualnej i zbiorowej, a obrusów nikt tam nie niszczy, choć leżą na wszystkich stolikach. Pokoje z łazienkami, dwuosobowe i czterosobowe, bez wyjątku z łózkami piętrowymi, i coś mi się zdaje, że „Laworta” była początkowo budowana z przeznaczeniem na luksusowy hotel. W każdym razie jest teraz, unikalnym raczej, domem wycieczkowym z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko z nazwy kamuflującej turnusowy ośrodek wczasów międzyzakładowych.

Jeśli natomiast przejeźdny samochodziarz udałby się z Soliny do bliższego niż Ustrzyki Dolne Polańczyka, to chyba z bezinteresownej sympatii dla urody wszystkich ośmiu piętrowców wczasowych, wylaniających się ze ściany zieleni. Z noclegiem bowiem dla „indywidualnego” już tutaj bardzo mizerne, a sam Polańczyk to w gminie solińskiej i całych Bieszczadach wczorowa perła „zamkniętych” wczasów zakładowych, resortowych, związkowych i tym podobnych.

Domy pracują, oczywiście, rytmem turnusowym, a w każdym z nich klient ma wszystko pod nosem — spanie, stołówek, kawiarnię, bibliotekę, gry towarzyskie, telewizor, radio, lekarza. Ponadto ośrodek „Detal” (WSK Rzeszów), od września do czerwca pełniący wraz z ośrodkiem „Relavia” (WSK Świdnik) funkcje sanatoryjne, latem udostępnia swój zakład przyrodoleczniczy wczasowiczom z pozostałych ośrodków w Polańczyku, wszystkie swoje bicze szkockie i masaże podwodne dla znerwicowa-

nych, z odpłatnością od 40 do 60 złotych za jeden raz. Tym sposobem Polańczyk ma status uzdrowiska, choć nie posiada jeszcze statutu uzdrowiska, do czego potrzeba by własnych wód leczniczych, za którymi idą wiercenia w okolicach.

Jerzy Czyżewski, dyrektor „Dedala” i „Relavii”, zresztą przed siedmiu i więcej laty dyrektor domu kultury WSK w Świdniku, widzi w przyszłości swój ośrodek w Polańczyku — ogromny. Jako centrum rekreacyjno-lecznicze przemysłu lotniczego. A chwilowo rozmawiamy o sposobach letniego wypoczynku tutaj.

No więc ludzie leniwi są — kawiarnia, telewizja, książka w łóżku ich cieszy za cały wypoczynek. Jadą setki kilometrów, żeby czynić to samo, co w domu. Jest już ósmy dzień turnusu, a nikt jeszcze z własnej woli nie stawil się na ścieżce zdrowia. Nie chcą,

Jechać czy nie?

czy nie potrafią uzyskać kart pływackich i trzeba robić zbiorowe rejsy rowerów wodnych i łodzi wiosłowych pod okiem instruktorów i ratowników.

Rozmowę w gabinecie dyrektora Czyżewskiego przerwały w pewnym momencie donośne odgłosy własnej rodzinnej wczasowiczów z sąsiedniego pokoju. Mąż uprawiał damski boks pod prowokacyjny, masochistyczny jazgot żony, a dzieci patrzyły. Faktycznie — jadą setki kilometrów, żeby czynić to samo, co w domu.

— Nauczylimy ludzi biernie odpoczywać całymi rodzinami w zakładowo-zawodowych gronach, panie dyrektorze. Pogłębiamy frustrację.

— Ależ załogi WSK wręcz sobie życzą wczasów w Polańczyku, to cementuje kolektyw zakładowe.

— Ludzie nie wiedzą, czego im potrzeba...

Wieczorem wychodzę na długi, beznadziejny spacer po Polańczyku. Na niewielkim obszarze odpoczywa tu jednorazowo około 1400 osób, ale mało kogo widać na ulicy, młodzieży prawie wcale, jakieś rodziny, matki za rękę z dziećmi, trochę średniego pokolenia w pojedynkę. Sklepy już dawno zamknięte, jeden czynny do 17-ej, w drzwiach drugiego kartka: „Pojechałam do lekarza”. To branża spożywcza. Żadnej, najmniejszej nawet restauracji ogólnodostępnej, nie mówiąc już o kafejkach, klubach, winiarniach...

Pustawo i emerytalnie jest. W różnie bez trudu do 21-ej kupuje się piwo „Okocim” i porter tejsze marki, w pawilonie „Ruchu” — powieść kryminalną „Potrzebna atrakcyjna brunetka”. Na ulicy ani jednej atrakcyjnej brunetki. Można zdechnąć z nudów, szczególnie gdy deszcz pada. Wracając ze spaceru, widzę, tuż obok „Dedala” w małym amfiteatrze dają seans kina letniego, idzie jakiś western. Z balkonów „Dedala” wczasowicze śledzą akcję filmu, a jedna starsza pani nawet przez lornetkę. Nie chce im się przejść tych pięćdziesięciu metrów do amfiteatru...

Od Stanisława Surowca, I sekretarza KG PZPR w Solinie, dowiaduję się, że gmina liczy 5500 ludności

WARSZAWSKI
BRUK

Różowe dodatki

Wojciech Roszewski

KANIKULA! W myśl praw rządzących wakacyjnymi wędrownkami ludów Warszawa winna stać się na pewien czas miastem sennym, opustoszałym i gnuśnym. Tymczasem nie takiego się nie obserwuje. Zamknięto — i owszem — kilka teatrów, na ekranach kin bytują filmy tzw. lżejszego kalibru, z których jednak strzela się z daleko cięższej niż normalnie broni (vide: „Rewolwer „Phyton 357”). Wszystko to jest do zniesienia poza faktem, iż biblioteki z Narodową na czele również zamykają swoje podwoje i człowiek nie ma gdzie prowadzić upartej pracy samokształceniowej, w zawodzie dziennikarskim bezwzględnie koniecznej.

Do czego prowadzi zarzucenie jej choćby na moment, świadczyć może przypadek felietonisty „Polityki” i czołowego show-man’a naszej telewizji Daniela Passenta. Passent, jak można domniemywać z kilku jego tekstów, wyrobił sobie pogląd na temat zjawiska pracy w Polsce. Obserwacje porównawcze poczynione poza granicami kraju, m. in. w Paryżu, sprawiły, iż doszedł on do wniosku, iż jedynie na Zachodzie pracuje się z impetem, u nas natomiast ślama-

zarnie. W ostatnim felietonie „Życie codzienne w Polsce u schyłku XX wieku” (por. „Polityka” nr 28) nawiązuje ponownie do tej odkrywczej myśli.

Miejsce pracy — czytamy u Passenta — jest więc do pewnego stopnia ogniskiem domowym, a także miejscem regeneracji sił przed wy-czerpującymi zajęciami domowymi. Konsumpcja używek w pracy, zwłaszcza kawy, papierosów i alkoholu, jest może nie niższa niż w domach prywatnych. Nie da się tego powiedzieć o narkotykach. W czasie wieloletnich badań nie stwierdziliśmy przypadków transu narkotycznego w zakładzie pracy.

Z kim przestajesz, takim się stajesz. Uogólnienia poczynione przez Passenta nazbyt wyraźnie zdradzają swój rodowód, by nie polączyć ich z jego zaangażowaniem w redagowanie pewnego, różowego dodatku do „Polityki”, skazującego go na częste obcowanie z pracownikami przeróżnych, mniej lub bardziej ważnych urzędów, działających pod egidą Merkurego, ale nie tylko. Demoralizację części warszawskiej biurokracji Passent śmiało rzuca na całokształt gospodarki i czyni z niej naszą wadę narodową numer jeden.

Stąd już wypływa prosty wniosek, iż musimy jeździć do Paryża nie po

to, by wdrapywać się tam na wieżę Eiffla, zwiedzać Luwr czy też spacerować sobie spokojnie nad brzegami Sekwany, lecz po to, by od tamtejszych mieszczuchów uczyć się takich cech, jak pracowitość, oszczędność, poszanowanie czasu i Bóg wie czego jeszcze. W świadomości Passenta cechy te mają najwyraźniej charakter mieszczański, wynikają z właściwej burżuazji zapobiegliwości i tych resztek purytańskiej tradycji, jakie jeszcze zachowała, ani mu zatem w głowie myśl o tym, iż pracowitym, oszczędnym, szanującym czas może być także prosty robotnicarz czy też jeszcze prostszy chłop, że tego i owego w tym względzie można się nauczyć również w Hucie Warszawa czy w Żółkwi.

Ongiś, kiedy jeszcze mieszkałem nie w Warszawie, lecz w Toruniu, badano ten problem w jednym z największych przedsiębiorstw przemysłowych tego miasta. Wynik był dość zaskakujący, ale nie za bardzo. Okazało się mianowicie, że zwiększenie wydajności pracy tylko w czternastu procentach zależne jest od wysiłku bezpośredniego producenta, reszta natomiast uzależniona jest od doboru technicznego, organizatorów produkcji oraz zakładowej administracji, a więc ludzi, którzy lubią czytać „Politykę”, niezbyt są skłonni

wydągać z tej lektury wnioski dla uprawiania własnej działalności.

Rzut oka na Polskę z któregoś tam piętra szklistej klatki wieżowca „Intraco”, zza działowych ścianek przeróżnych biur, z miękkich foteli w gabinetach naszych administratorów, upoważnił więc Passenta do wniosku, że w naszym kraju jest z tą sprawą źle, a jak jest źle, to i śmiesznie. Istotnie nie osiągamy rekordowych wskaźników wydajności pracy, co nie oznacza jednak, że nie pracujemy ciężko i z poświęceniem.

— Problem — powiedział mi pewien krakowski tokarz — nie w tym, że pracujemy mało. Problem w tym, że pracując na dwieście procent, uzyskujemy wyniki na sto trzy procenty z drobnym kawalkiem. — Trudno o bardziej lapidarną charakterystykę sytuacji. Pracujemy twardo, ale wyniki naszej roboty nie zawsze są wprost proporcjonalne do wysiłku, w pewnym momencie włączają się czynniki hamujące, których działanie trzeba równoważyć zwiększeniem trudu bezpośredniego producenta.

Nie widzę żadnych powodów, by ów bezpośredni producent — robotnik czy chłop — miał stawiać sobie za wzór paryskiego mieszczucha. Nie sądzę także, żeby spotykana tu i ówdzie urzędniczą gnuśność zwalczając wzorami importowanymi z Francji, dla której zresztą posiadamy wiele szacunku, ale nie jestem w takim stopniu zafascynowany nią jak Passent. Bo cóż on robi w swoich felietonach? Po prostu usprawiedliwia. Ba — można wysnuć z nich prosty wniosek — gdybyśmy tak urzędowali w Paryżu, a nie w Warszawie, zaraz pokazalibyśmy wszystkim, gdzie raki zimują. Skończyłyby się kawki, rozmówki, ploteczki, a my sami z niepoprawnych gadul i leni, przekształcilibyśmy się w istne demony działania.

stale i 6000 miejsc wycieczkowych, w tym 3200 na kempingach i polach namiotowych. Jest więc turystyka ważną dziedziną gminnej gospodarki; z samej opłaty klimatycznej spodziewają się wpływy rzędu 1,5 miliona złotych rocznie do swobodnej dyspozycji gminy. W Myczkowcach, Solinie i Polańczyku rygorystycznie egzekwują zakaz „dzikiego” biwakowania. Nie po to państwo wybudowało niedaleko na gorze Jawor wielki kemping o standardzie międzynarodowym kosztem 30 milionów złotych, żeby turysta wymykał się bokami, szczególnie zagranicą. Tymczasem widzę, iż przed oknem gabinetu sekretarza ktoś rozłożył namiot i biwakuje swobodnie. Może dzieci? Może jakiś przypadek?

— Tutaj ludzie zostawiliby znacznie więcej pieniędzy, gdyby sklepy działały do 20-ej na przykład, gdyby barów, kawiarni i restauracji było więcej — powiadam.

— To trzeba zmienić drogą budowania mieszkań dla personelu obsługującego ruch turystyczny. Tylko trzy osoby spośród pracowników handlu w Solinie są miejscowe, reszta dojeżdża z daleka. Ale mieszkaniówka ruszy w tej pięciolatce, zarówno w Polańczyku, jak i Solinie.

O kłopotach kadrowych przypomniałem sobie, stojąc o godzinie 8.45 przed okazałym budynkiem (gont, drewno i kamień) zajazdu „U Kmity”, 5 kilometrów od Leska — w Postolowie, u samego jakby wejścia w rejon Bieszczadów. Kierowniczka akurat zmywała szyby u drzwi zajazdu, gdyż brakuje sprzątaczek. Od 9-ej powinna być czynna gastronomia, ale nie przybyła jeszcze szefowa kuchni, która dojeżdża „stopem” z Leska, bo komunikacja państwowa niedogodna.

Luksusowy ów zakład, pierwszy tego rodzaju w Bieszczadach, otwarto 19 czerwca. Telewizja już go chwalebnie obsłużyła. Liczy 60 miejsc w restauracji i 40 w kawiarni, a tylko 26 noclegowych. Wejście do części hotelowej akurat naprzeciw drzwi kuchni i bezpośrednio nad schodami do piwnicy. Był różdżkarz i wskazał, gdzie znajduje się woda, ale pan geolog znalazł inne miejsce, wykopano tam dwie studnie głębinowe, które okazały się suche. Woda jest dowożona beczkami, bodajże z Leska. Bardzo trudne są początki.

Zdzisław Michnik, dyrektor WPT „Bieszczady” z siedzibą w Lesku, miewa raczej optymistyczne przeświadczenia. W zeszłym roku powstało ogólnobranżowe porozumienie na szczeblu centralnym w sprawach turystyki, a w ślad za tym — Zjednoczenie Gospodarki Turystycznej. Firma dyrektora Michnika jest najpoważniejszym i wiodącym gestorem wycieczek i rekreacji w Bieszczadach, obok kilku innych już nie tak znaczących. Istnieje wspólny fundusz branżowy, prowadzony przez WPT „Bieszczady”. WPT zbudowało w Lesku kompleks przepięknych basenów, przekazany następnie OSiR-owi. Dla czego basen MOSiR-u w Ustrzykach Dolnych do połowy tylko napełniony wodą, nie wiadomo. WPT jest armatorem trzech statków wycieczkowych na Solinie, właścicielem dwu stacji obsługi samochodów, z których zresztą żadna nie posiada autoryzacji na „malucha” i dyrektor musiał swój pojazd reperować w Sanoku (sam też tam reperowałem i wykonano robotę źle, jak się na późniejszej trasie okazało). W ogóle wszystko na ogół wygląda fajnie.



Widok z Poloniny Wetlińskiej

Fot. J. Kozioł

Od dyrektora Michnika dowiedziałem się, że województwo krośnieńskie posiada ogółem 17 200 miejsc noclegowych dla turystów i wczasowiczów, zaś ruch turystyczny w ciągu roku liczy około pięciu milionów ludzi. Z tych 17 200 miejsc — 6500 stanowi baza otwarta, a głównie 4000 miejsc w kwadrantach prywatnych. Do owych natomiast pięciu milionów zalicza się wszystkich — przejeżdżających tylko bez korzystania z noclegów („passantów”); nocujących od jednego do kilku dni; „turnusowców” w ośrodkach WPT, zakładowych, resortowych i tym podobnych; i wreszcie — „dzikich”.

Ponieważ główna baza noclegowa województwa mieści się w Bieszczadach, gdzie latem odbywa się najpoważniejszy ruch turystyczny, więc z podanych przez dyrektora cyfr płynie kilka prostych wniosków. Ze, jak dotąd, Bieszczady są zorganizowanymi skupiskami przede wszystkim czasów zamkniętych, a nie turystyki indywidualnej. Ze do przemysłu turystycznego Bieszczadom jeszcze bardzo daleko, a potężna masa turystów „lotnych” (samochodiarzy i piechociarzy) skazana jest na działanie własnym... przemysłem. I faktycznie widzę ich, jak biwakują luzem przy drogach, gdzie tylko można dojechać lub swobodnie dojść nad wodę z namiotami, kocherami, garami i konserwami. Wbrew „rygorystycznym” zakazom.

Wolno oczekiwać, że w najbliższych latach zmieni się będzie w kraju praktyczny model wycieczek letniego — z osiadłych wczasów turnusowych na bardziej dynamiczną turystykę. Około roku 1980 ruszy w Polskę lawina „małych fiaciarzy”, którzy dokonywali przedpłat, czekali cierpliwie, a teraz każdy chciałby przeżyć umiarkowaną przygodę turystyczną; w Bieszczadach zaczynając się już od tego, że można przejechać blisko tysiąc kilometrów trasami, gdzie żadna droga nie jest płaska ani pro-

sta, a gdy pada deszcz, to wyżej w górach mokry opar schodzi prosto przed sam nos samochodu i strumyki wody płyną w poprzek szosy.

Przygoda wszelako w „maluchu”, wiozącym rodzinę „dwa plus jeden” plus gary, namiot, kochery, konserwy, może stać się koszmarem. I w tym momencie potrzebne mi pewne obliczenia. „Osobo-doba” (nocleg i wyżywienie) kosztuje w „Dedalu” 140 zł, w solińskich domach WPT — 166 i 214 zł, w „Latorcie” 227 zł i 268 zł. Oczywiście, ponieważ na ogół chodzi o turnusy zakładowe, wkracza akcja socjalna, dopłaty ze środków społecznych, i wczasowicz nie biednieje specjalnie. Dość trudno jednak byłoby płacić takie stawki turystyce indywidualnej, który nocuje po parę dni w różnych miejscowościach i nie korzysta z socjalnych dopłat. Nie mówiąc już o odwiedzeniu zajazdu „U Kmity”, gdzie sam nocleg w dwuosobowym pokoju kosztuje 350 zł, a za śniadanie zapłaciłem 60 zł (pieczywo, masło, szynka, pomidor, herbata). Tymczasem u pewnej pani w Polanie, prowadzącej prywatny zajazd (tak samo gont, drewno i kamień, tylko w miniaturze), „osobo-doba” (z domową wyzerką!) w czystym trzysobowym pokoju, z radiem i używalnością łazienki, kosztuje 120 zł. („Skoro pan z Lublina, to proszę mi przywieźć ćwiartkę świnia, ja balerony zrobię sama, jakoś się rozliczymy”).

Umiarkowana przygoda turystyczna obywatela (za umiarkowane pieniądze) od strony sektora uspołecznionego, świadczącego usługi noclegowe i żywieniowe, wygląda nadzwyczaj umiarkowanie w naszych wspaniałych Bieszczadach. Jeśli już miałbym jechać w Bieszczady, to pojechałbym w... Beskid Niski, gdzie wiedziałbym, że na nic nie mogę liczyć, a tylko wyłącznie na siebie. Przynajmniej nie byłoby rozczarowań.

Maciej Podgórski

Oczywiście są to mrzonki. Oczywiście, skoro gdzieś jest już źle, trzeba szukać zgoła innych dróg naprawy sytuacji. Passent jednak, sam niezły, a właściwie coraz lepszy zabawiacz, w miarę wpływu lat coraz bardziej wierzy w uzdrawiającą moc śmiechu. Istotnie ma on moc uzdrawiającą, ale nie w odniesieniu do wszystkich bez wyjątku ludzi i sytuacji. Istnieje śmiech o posmaku nieco masochistycznym, który niczego nie przezycięża, a wprost przeciwnie — umacnia w przeświadczeniu, że dobrze jest jak jest.

Znam czytelników felietonów Passenta, którzy czytając je śmieją się gromkim głosem z samych siebie i tak dalece po ich lekturze robi im się lekko na duszy, że po staremu i bez żadnego zażenowania brną w znane już im aż za dobrze błędy, dostarczając tym samym felietoniście „Polityki” ciągłe nowych materiałów. Między wyśmiewającym, a wyśmiewanymi rozściela się pewna wspólnota interesów, momentami tak bardzo ścisła, iż człowiek miałby ochotę, żeby intelektualista tej miary co Passent, przesiąknął papawiną łączącą go z wieloma bohaterami swoich tekstów i zamiast paryskimi buleczkami, pokarmil ich trochę krajowym razowcem.

Jaki stąd wypływa wniosek ogólniejszy? Taki, że na warszawskim bruku, nawet w gnuśnym okresie kanikuły, żyć trzeba z pewną poprawką. Tą mianowicie, że obserwacje poczynione w pewnych biurach i urzędach Warszawy nie wystarczają na to, żeby sobie stworzyć pełną wizję nekających nas kłopotów i problemów. Ze nawet kilka spostrzeżeń przywiezionych z Paryża na to nie wystarczy. Ze owe kukulcze gniazdo, które wije sobie gnuśny urzędnik w swoim gabinecie, nie wystarczy na dobry punkt obserwacyjny.

JERZY Brodzki napisał wyjątkowo niefrasobliwą powieść „Doktor Twardowski”. Na czym polega jej niefrasobliwość? Na dowolności realiów, przy której niefrasobliwość z kolei Jerzego Kibica jest szczytem skrupulatności. Popatrzmy. Ale to będzie nieco długie, ponieważ to, czego dokonał prozai, dramaturg i felietonista zasługuje na należyty przydział uwagi.

Pewien pan, który nazywa się Jeremi Rokita, ma po sześćdziesiątce i jest kulawy. Jest również adiunktem. Jeszcze te trzy okoliczności nie mają w sobie nic dziwnego, choć w tym wieku (a w powieści jest mowa o szczególnych kwalifikacjach naukowych wymienionego) być tylko adiunktem to coś mało. Ale jedźmy dalej. Do adiunkta zwraca się dwudziestoosmioletni doktor, Grzegorz Twardowski, wschodząca gwiazda nauki. Różnica lat dwadzieścia dwa, przez te dwadzieścia dwa lata Rokita w stosunku do Twardowskiego zaliczował raz, ale to wystarczy, by został zawrzeszony na promotora habilitacji Twardowskiego. Pan adiunkt propozycję przyjmuje, nie bez tego jednak, by nie zaprosić go wraz z narzeczoną do siebie na flaszkę wina, która w praktyce okazuje się pełnometratowym ochlajem. W ogóle pan adiunkt popija często, często też odwiedza knajpy, z których przeprowadza sobie pewne panie. Niektóre po seansie, czyli nad ranem są fak usatysfakcjonowane, że nie przyjmują honorarium. Coś takiego pan adiunkt zamierza w stosunku do Małgorzaty, narzeczonej Grzegorza.

Towarzystwu adiunktowi dalej. Widzimy go jak spaceruje po krakowskich plantach i natyka się (gdzieś koło szóstej rano!) na dwóch emerytów grających w szachy. Nie, to byłoby za mało ekspresyjne: na dwóch emerytów powtarzających pierwszą partię Alechina z Capablanca, w której to partii dochodzi do ofiary jakości za atak. Kilka pułków: czy emeryt graja w szachy tak wczesnym rankiem? Czy emeryci chcą czytać rozrywki przy szachownicy powtarzając partię Alechina z Capablanca? Czy ja w ogóle znam, a jeśli znają to po co powtarzają? Co mianowicie jeden drugiemu w ten sposób zademonstruje? Dodajmy już poza pytaniami, że nie ma takiej partii. W pierwszej partii meczu o mistrzostwo świata między Alechinem a Capablancą nie doszło do ofiary jakości. W dodatku mecz się odbył w roku 1927, więc wtedy, kiedy jeden z graczy miał lat trzy. Mało tego. Tenże właśnie amator oru królewskiej rzuci się na adiunkta z nożem. Oczywiście nóż jest wytrącony, napaśtnik skarczony, po czym od pana adiunkta otrzymuje użyteczną.

Grzegorz Twardowski — jak wspomnieliśmy — jest nadzieją polskiej medycyny. Ale nie tylko. Jest niezwykłej urody młodzieńcem. Żadna kobieta itd. Ponadto tak sprawni fizycznie, że na 100 metrów przez płotki miał możliwość zejść poniżej 47,3 sek.

Czyli rekord świata. Jedzie z Rokitą na konferencję naukową do Paryża. Na lotniskach zamach. Trzej Japończycy, dwoje młodych Niemców od Baadera i dwaj ludzie „Czarnego Września”. Strzelanina, polowanie na zakładnika. Kapitan Boelga już trup, zagrożona jest dziewczynka w ortopedycznym obuwku. Ale od czego Twardowski, autor rewelacyjnej pracy „Historia, metoda, świadomość”, piękniś i sportowiec. Dziewczynka jest ocalona, co portaga za sobą szal owocji na lotnisku, przyjęcie w

ka, w partyzantce nazywana „Wiedźma” Oto:

— A tak! — śmieje się. — Interesujące! Epatant, rarisant! Ale szczerob wy, pane, w kameń perawernułyś, takie to interesujące”.

I w ogóle. Jest to powieści pacjent, który żyje po czwartym (dlaczego tylko tyle?) zawale, jest pielęgniarzka, która krzyczy do pacjenta: „Trzymaj pan zadek, do cholery! Tu nie porodówka, tylko szpital”, inna znow „przychodzi po nowego, żeby zaprowadzić

Mówi Mefisto

prezidentem gabinetu w Pałacu Elizejskim, zdjęcia i zachwyty w paryskich dziennikach oraz znaczną sumę od The American Red Cross (dziewczynka jest Amerykanka) na Centrum Zdrowia Dziecka. A jeszcze ochotę szwadronu kobiet (w tym siewardesty samolotu i dystyngowanej Angielki niemal równoczesną), z których jedna (Piękność Dnia) trzyma bohatera w swoich objęciach na parę godzin przed konferencją, mająca zarzucić sławę europejskiej historii. Na konferencji Twardowski odnosi niebywały sukces gromiąc jednego z najwybitniejszych profesorów, Klausza Heilebra z Getyngi. Profesor po kilku dniach umiera.

Po takim sukcesie Twardowski w kraju otrzymuje od razu tytuł adiunkta. Ale nie bez zardrośnięcia innego pracownika naukowego, doktora Ludwika Piaskowego, który „etat” adiunkta miał sobie „obiecany”.

„Gratuluję, kolego adiunkcie! — poutarza. — Udalo ci się wreszcie mieć wykończyc”.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że doktor Piaskowy ma lat czterdzieści osiem, a Twardowski dalej swoje dwadzieścia osiem, dojdziemy do wniosku, że to „wreszcie” dotuje się chyba od Twardowskiego ławy szkolnej. A chcecie wiedzieć, jak mówi matka Twardowskiego, huculka „chamskiego wyznania i czarnopodniebnego nacji” z domu liny-

go na badania, wdzierczy się, grucha i tańczy, jakby chciała już zaraz teraz podleczyć go, przebadać i podleczyć babiskim chwytem i damskim zachwyconiem, na golke i bez zwoloki”.

O Champs Elysees!!! W tej realistycznej powieści, kiedy zamachowicie strzela na lotnisku Le Bourget, narrator wie, że to z Maschinenpistole kalibru 7,26, kiedy na konferencji budżet zdziwienie wiek pewnego profesora, narrator informuje, że profesor ma osiemdziesiąt jeden lat, siedem miesięcy i pięć dni, kiedy relacjonuje zachowanie się pewnej pielęgniarzki znajdującej się w szpitalu, nawiązuje z nią rozmowę znajdując się u siebie w domu.

— Kto to? — krzyczy siostra Joasia w pustej korytarz. — Kto to? — i ucieka”.

Mu wtem: Münchhausen, a nawet Mefistofelesa.

Z. M.

P.S. Jeremi Rokita czuła sobie „Tristie” Owidiusza. Nie ma czegoś takiego. Są „Tristia” Owidiusza, co znaczy „Zale”. Rzeźbiarstwo w liczbie mnogiej, a nie imię żeńskie.

HOTELE ROBOTNICZE

Zdzisław Kłosowski

Z TRZECH hoteli pracowników budownictwa w Lublinie, w których obserwowałem życie mieszkańców, dwa zamieszkuje po około 450, jeden — około 250 osób. Wszędzie są pokoje dwu, trzy i czteroosobowe, wyposażone w podobne meble (łóżka, tapczaniki, szafki na ubranie, stoliki i krzesła). Ten hotelowy, określony szablonem norm wyposażenia, sprzęt w wielu pokojach jest uzupełniany, zgodnie i niezgodnie z regulaminem, w dodatkowe elementy: funkcjonalne i dekoracyjne. Wielu mieszkańców wstąpiło do pokoju hotelowego własne telewizory, wazy, doniczki z kwiatami, firanki, zasłony okienne, ulubiony dywanik, zawieszając na ścianie słomiane maty z ekspozycją pocztówek, kart do gry, barwnych zdjęć wyciętych z różnych magazynów ilustrowanych. Szafki w niektórych pokojach są zasobne w zastawę stołową, jak się okazało, dość często wykorzystywane do bardziej lub mniej uroczystych przyjęć. W hotelu przy ulicy Pogodnej odnotowano przypadek wyjątkowej troski o miejsce zamieszkania. Przeprowadzono mianowicie remont pokoju z odmalowaniem według własnych gustów — z inicjatywy i na koszt jego mieszkańców.

Troska o wytwarzanie ciepła i klimatu indywidualnego — z jednej strony świadczy o potrzebie upodobnienia wnętrza pokoju hotelowego do prywatnego mieszkania, z drugiej zaś jest demonstracją określonych gustów i kultury. Ta krzątanka ma charakter ćwiczeń do przyszłego urzeczywistnienia tęsknot i hobby mieszkaniowych. Większość robotników marzy o własnym, spółdzielczym mieszkaniu. Niektórzy posiadają książeczki mieszkaniowe, inni liczą na mieszkanie w tak zwanym budownictwie patronackim. Pytani o to, jak urządzić swoje przyszłe „M”, przypominają się na tym, że nie bardzo wiedzą, jak. Widzieli i znają przede wszystkim wnętrza domów rodzinnych, wiejskich — około 97 proc. mieszkańców pochodzi ze wsi — albo wnętrza hotelowe. Młody robotnik budowlany przyznaje, że zna tylko kilka domów wiejskich, a najbardziej podobało mu się mieszkanie kierownika wiejskiej gorzelnicy. W mieście nie odwiedzał nikogo. Inny młody lokator hotelu stwierdza:

— Jak się nie ma własnego mieszkania, to się nie odwiedza nikogo, bo nie ma możliwości rewanżu. Gdzie ja kogo zaproszę? Do hotelu? Tak na dobrą sprawę to nie znam mieszkań miejskich, dobrze urządzonych. Ci, co mnie odwiedzają w hotelu, mają słabo wyposażone mieszkania — nie ma się na czym wzorować.

Świetlice różnią się nie tylko wielkością (w małym hotelu przy ulicy Wrońskiej jest mała, przy ul. Pogodnej i ul. Podzamcze — większe), ale też pewnym klimatem zagospodarowania. W każdej świetlicy jest wprawdzie taki sam sprzęt: foteliki i telewizor, krzesła, stoliki i prasa, ale w jednych odczuwa się ciepło prawie domowej atmosfery, w innych chłód „odświętnej” sali widowiskowej czy konferencyjnej. Wysoka, duża sala, równo w rzędach ustawione foteliki i na czołowym miejscu, jak ołtarz, telewizor, tak wyglądają świetlice w dużych hotelach. Natomiast w małym hotelu przy ul. Wrońskiej sala ma wielkość dużego pokoju, nikt tu nie dba o szczególną symetrię w ustawianiu krzesel, ale często wieczorem wszystkie są zajęte, niektórzy mieszkańcy przychodzą z krzesłami zalesionymi z pokoi sypialnych; atmosfera jest bardzo sympatyczna.

Nad poprawnym funkcjonowaniem życia hotelowego czuwa służba hotelowa. Kierownik pełni w zasadzie rolę administracyjną. Załatwia zameldowanie i wymeldowanie, różne sprawy gospodarcze oraz nadzoruje wykonywanie obowiązków przez podległy personel (instruktorzy k.o., portierzy, sprzątaczkę i konserwatora). Ponadto współpracuje z samorządem mieszkańców, czasem bierze udział w sądzie koleżeńskim, bo ktoś się z kimś pobili lub nadużył alkoholu. Czasem bywają samookaleczenia (tło: alkohol i nieszcześliwa miłość), więc trzeba udzielić pierwszej pomocy, wezwać pogotowie.

Są i inne delikatniejsze sprawy. Regulamin zabrania meldowania rodzin, ale kiedy urodzi się dziecko w hotelu, a ojciec mieszka pod tym samym dachem — to jest już i rodzina, dla której trzeba wygospodarować osobny pokój. Przychodzą ludzie do administracji, zwierają się, proszą o poradę, czasem o pomoc. Niedawno kierownik jednego z hoteli po takiej rozmowie zobowiązał się pomóc w załatwieniu wizyty u lekarza specjalisty i dotrzymał słowa. Dziewczyna jest mu wdzięczna. Na ogół jednak niechętnie zwierają się z tymi problemami, które powstają na tle radzenia, a raczej nieradzenia sobie z samym sobą. Szczególnie młodzi mieszkańcy mają sporo ważnych, a trudnych problemów,

ulicy Podzamcze — ale w grupie są okropni, zadziorni, czasem arogancy. Gdy jest sam, odpowiada za siebie. W grupie kolegów obowiązuje jakaś inna kultura zachowania. Są solidarni, demonstrować czasem swoją inność, odrębność w stosunku do służby hotelowej. My i oni. My i wy.

Struktura wieku mieszkańców hoteli, które opisuję, jest zróżnicowana. Poza pięćmi internatowymi przeważają ludzie w wieku od 18 do 30 roku życia (około 85 proc. mieszkańców). Grupa od 30 do 45 lat to około 10 proc. Pozostali mają powyżej 45 lat.

Kobiety mieszkają, na oddzielnych piętrach (z wyjątkiem hotelu przy ul. Wrońskiej) i stanowią zdecydowaną



Fot. J. Mirosław

które rozwiązują niekiedy ze szkoda dla własnego zdrowia, a nawet życia. Kierownik jednego z hoteli zapytany o kwalifikacje, jakie powinien posiadać pracownik na tym stanowisku, odpowiada: „powinien być energiczny, z dużym doświadczeniem życiowym, trochę psycholog, trochę pedagog, a przede wszystkim człowiek”.

Sądę, że za mało wymienił mój rozmówca niezbędnych kwalifikacji. Bo dowiedziałem się, że młode mieszkanki hotelu pytają go nawet „co robić, bo dziecko płacze, jak karmić, jak ubierać niemowlaka”, „czy dziś w taką pogodę można wyjść z maluchem na spacer”?

Rozmowy trzeba by w pewnych układach inspirować, ale brak czasu na nie, zarówno kierownik, jak i pracownicy kulturalno-oświatowi hotelu z konieczności zajmują pozycję wyczekującą.

— Wiem tylko tyle, ile mi powiedzą, sama rozmowy na ich tematy nie rozpoczynam. Przyszła do mnie dziewczyna po godzinie 18-ej, ma problem. Jej chłopiec jest pesymistą, wszystko widzi w ciemnych kolorach. W nie wierzy, jest nieufny, podejrzliwy. Jak zmienić jego postawę do życia, do ludzi? I toczą się długie rozmowy filozoficzne na ten temat. Albo: dziewczyna mieszka z koleżanką, która nie dba o czystość i porządek. Brudzi, że aż strach. Jak w tej sytuacji utrzymać ład w pokoju i nie wejść w konflikt z koleżanką?

W kontaktach indywidualnych są inni, lepsi — analizuje bibliotekarka z

mniejszość: około 10 proc. ogółu mieszkańców.

Hotelowe współżycie ludzi o różnym wieku nie nasirca specjalnych kłopotów. Czasem tylko młody człowiek — dla którego naturalną rzeczą jest, iż zamieszkuje w pokoju hotelowym, a nie w domu rodzinnym — wyraża zdziwienie, że człowiek starszy jest dotąd niestabilizowany, godzi się na rozłąkę z rodziną. Natomiast przebywanie pod jednym dachem dużej stonkownie liczby kobiet i mężczyzn rodzi różne komplikacje i zjawiska obyczajowe. Na przykład w jednym z hoteli chłopcy przemysłnie zdrapali farbę z zamalowanego okna w łazience, by móc podglądać kąpiące się dziewczyny.

— Stanie taki pod drzwiami, gdzie dziewczyny rozmawiają i podsłuchują. Ja nie wiem, czy oni mają jakiś rozum — wychodzą na dwór i zaglądną przez obrapana z farby szybę, jak my się kąpiemy” — mówi operatorka sprzętu lekkiego. Formą załotów bywa też walenie w ścianę, lub dobijanie się do drzwi pokoju dziewcząt. Inne rodzaje kontaktów między przedstawicielami obojga płci są „nie zauważane” ze względu na pełnoletność partnerów. Zresztą efektem tego są tak zwane „hotelowe małżeństwa” i „hotelowe dzieci”.

Ale koedukacyjność hoteli ma też i dobre strony. Dziewczyna bardziej dba o czystość i estetykę swoich pokoi. Chłopcy podpatrują i wzorują się na nich, a kiedy zachodzi potrzeba urzą-

dzenia w pokoju przyjęcia, na przykład z okazji imienin, to w przygotowaniu stołu biesiadnego pomoc pań jest nieodzowna i często wykorzystywana. Sądę, że wielu młodych mieszkańców właśnie ze względu na kontakty hotelowe z dziewczętami dokłada więcej starań celem utrzymania czystości i wyglądu zewnętrznego.

W jednym z hoteli we wspólnej umywalni odbywają się towarzyskie spotkania pod pretekstem np. przepierki. Byłem świadkiem, jak dziewczyna, udzielała instrukcji chłopcu w trudnej sytuacji prania koszuli.

Wśród mieszkańców przeważają osoby stanu wolnego (prawie 80 proc.). Pozostali różnie układają sobie życie. Jedni stosunkowo niedawno zawarli związek małżeński; zona mieszka u rodziców lub teściów na wsi, on w hotelu. Ci właśnie czynią starania o uzyskanie mieszkania w Lublinie. Mężczyźni po czterdziestce, z dużym stażem małżeńskim, na ogół posiadają gdzieś na wsi małą gospodarzkę, którą obsługuje zona z dziećmi, a sami dorabiają w Lublinie. W okresie nateżonych prac polowych wykorzystują urlop na pracę w gospodarce.

W hotelowej zbiorowości jest spora grupa mężczyzn, o których mówi się, że domu nie mają. Są to albo rozwiedzeni, albo ludzie, którzy nie utrzymują kontaktów z rodziną. Zona z dziećmi mieszka w Gdańsku, on w Lublinie w hotelu, żony nie odwiedza, urlopy wykorzystuje na dorabianie. W niedziele i wolne soboty, a nawet święta, pozostają w hotelu. Dla wielu z nich obecny hotel nie jest pierwszym. Przenoszą się z miasta do miasta, z hotelu do hotelu. Są nosicielami swoistej „kultury hotelowej”. To oni między innymi wprowadzili zwyczaj „wkupnego”. Jest to niepisany obowiązek wkupienia się alkoholem przez nowego, który wprowadza się do pokoju. To jedyny ceremonialny zwyczaj z osiedlinami nowego mieszkańca. Kierownictwo hotelu ogranicza się do zameldowania go, wydania mu pościeli, wskazania numeru pokoju.

Dla wielu z tych ludzi przyjazd do Lublina to pierwszy kontakt z wielkim miastem. Jeśli poprzednio przebywał w mieście (małym), to tylko przy okazji uczęszczania do zasadniczych szkół zawodowych. Wykształcenie zasadnicze zawodowe w zakresie różnych rzemiosł budowlanych jest dominujące. Są rzeczywiście zainteresowani w zdobywaniu nowych, dodatkowych kwalifikacji. Chętnie zgłaszają się na kursy, które często odbywają się poza Lublinem, co stwarza dodatkową okazję poznania jeszcze jednego miasta. Przy tym za okres nauki przedsiębiorstwo płaci pobory według grup zaszerogowania, tak że pracownik na tym nie traci finansowo. Chętnie też uzupełniają swoje wykształcenie w różnych szkołach wieczorowych dla pracujących. Są to na ogół szkoły techniczne o profilu budowlanym. Zdarzają się też wyjątkowe przypadki podejmowania nauki w liceum ogólnokształcącym.

Rozmawiałem z dwoma mężczyznami, którzy mieszkając w hotelu ukończyli technikum budowlane. Są to niezmiernie wartościowi ludzie, godni podziwu za upór i pracowitość. Muszą pogodzić pracę zawodową w budownictwie — prace budów znajdują się na ogół na peryferiach miasta, a więc dużo czasu traci się na dojazdy — z nienajlepszymi warunkami hotelowymi mieszkania i nauki. Owszem, kierownicy hoteli starają się ułatwić życie młodym uczącym się. Dobre jest zapotrzebowanie bibliotek w lektury szkolne, a w miarę możliwości administracja stwarza dogodniejsze warunki do nauki, kwaterując uczących się po dwóch, najwyżej trzech w pokoju, ale i tak, na przykład, gdy jeden kreśli rysunek przy jednym stole w pokoju, to drugiemu pozostaje już tylko podłoga albo łóżko.

Nauka w technikum nie jest traktowana jako droga awansu do biura. Po technikum pozostają na budowie — tam można więcej zarobić. Ci, którzy uczą się, zyskują wysokie uznanie wśród pozostałych mieszkańców. Na pytanie stawiane moim rozmówcom, kogo spośród kolegów uhonorowałiby mianem „kulturalniejszego, wszyście na pierwszym miejscu stawiali młodych uczących się. Wymieniali ich po nazwisku, a na dodatkowe pytanie o uzasadnienie wyboru odpowiadali: „bo uczy się”, „uczy się i dużo czyta”, „nie rozrabia i uczy się”.

Wydaje się, że zarówno Przedsiębiorstwo Usług Socjalnych Budownictwa, jak i administracje hotelowe ograniczają się wyłącznie do tolerowania tego, że część mieszkańców uczy się i pracuje. Za mało jest pomocy dla tej wartościowej aktywności w postaci choćby wygospodarowania specjalnych sal do nauki, czy większego interesowania się problemami i postępowaniem młodzieży uczącej się. Dużo do zrobienia miałaby tutaj hotelowa organizacja ZSMP; czy samorząd hotelowy.

Lóżko przy ścianie

OBOZ rozbiliśmy na skałkach otaczających lodowiec. Kwitły tam ciemno-niebieskie dzwonki. Odczytaliśmy to jako zaproszenie i zapewnienie o przyjaźni gór do nas.

Na następny dzień rozpoczęliśmy atak na górę od wysłania zwiada. Przyszli z niczym. Chcieliśmy wejść północnym filarem. Ale obok zaplanowanej przez nas drogi, w ciągu dnia, zeszyły trzy lawiny. Widzieli to obserwujący drogę nasi koleździ. Zrezygnowaliśmy, chociaż pewne nadzieje na udany atak były. Potem, w innych górach, chodziliśmy w takich samych warunkach.

Następnego dnia wchodziliśmy na sąsiednią, ale mniejszą górę. Koło południa, gdzieś w połowie drogi, drogą, od której odstraszyły nas lawiny, z samego szczytu ruszyła ogromna lawina, największa, jaką widziałam. Nic ani nikt nie byłby w stanie nas od niej uratować.

Dzisiaj? Dzisiaj już tylko czasem jestem w górach. Nie, ja już nie idę do nich, one przychodzą do mnie, najczęściej wieczorem, po zachodzie słońca. To chmury. Wypiętrzając się i ciemniejąc na jasnym jeszcze niebie wydają się być pasmem gór.

Wcześniej u nas gaszą światło i wtedy rozpoczynam wspinaczkę. Tynk nie jest idealnie ułożony. Opuszkami palców wyszukuję nierówności. Pionowe rowki, pęknięcia to dla mnie żłęby. Powoli, milimetr po milimetrze przekładam na metry. Czasem tynk odpada, muszę wtedy chwycić równowagę jak na małym piargu. Znowu odnajduję małe plusienki i na nich odpoczywam. Siadam, rozpakowuję plecak, czuję w ustach gorzki smak czekolady i po-

wraca do mnie, oprócz innych widoków, najczęściej ten z bułi pod Rysami. Widzę Czarny Staw, a niżej Rybi, czyli Morskie Oko. Nad nim schronisko. Nie jest to droga dla alpinisty, ale do niej powracam, bo tam góry mnie zdobyły. Stamtąd niedaleko już do schroniska, do swoich. Kubek herbaty, skape w słowa rozmowy, długie milczenie po opowiadaniu. Bo my, ludzie gór, nie lubimy mówić. Lubimy chodzić. Kto chce nas poznać, musi być z nami na ścianie. Na swojej tynkowej ścianie palcami odnajduję pionowe wybrzuszenia, wąskie i ostre, to dla mnie filary. Natomiast te poziome wypukłości to przewieszki. Pokonuję je. Znowu wbijam haki, aż po metaliczny dźwięk. Całym ciężarem wiszę na linie, czubkami butów szukam oparcia. Na prze-

TRZY ŁÓŻKA

Władysław Oszejca

wieszkach jest często trochę więcej miejsca i tam odpoczywam.

Ale to już nie jest tak, jak bywało. Jestem sama. Nie ma kogo objąć, przytulić się, nie ma komu podać czekoladę i nie ma do kogo powiedzieć, że czas już schodzić.

Im bliżej okna tym bliżej szczytu. Jest coraz bardziej zimno. Pod palcami chrzęści śnieg. Zakładam raki. Palce zamieniam na czekan. Oddech staje się krótki i pospieszny. Często odpoczywam. Jeszcze jedna przewieszka, największa i najtrudniejsza, to parapet. W prawdziwych górach takie nie występują, ale przecież moje domowe, pokojowe góry stanowią wyjątek. Przed rozpoczęciem podejścia długo odpoczywam. Czasem wtedy zasypiam. Jeśli nie, idę dalej. Haki, karabinki, liny i całe doświadczenie musi być wykorzystane. Pokonuję przewieszki i staję na szczycie płaskim, rozległym i ośnieżonym. Nade mną już tylko gwiazdy albo chmury.

Żeby było jeszcze bardziej niezwykle, poprosiłam salową o kupienie bluszczy. Jest wiecznie zielony. Postawiłam go na parapecie i gdy kończę wspinaczkę, biorę jego listki w palce i mimo wysokości jestem znowu na hali. W ten sposób znajduje się w tej samej chwili jednocześnie w calych górach, mam wszystko naraz: regle, hale i granie. Wędruję po mojej ścianie często i czasem pozwalam sobie na próbne odpadanie. Hak puścił, albo strąca mnie spadający glaz. Ale tu zawodzi wyobraźnia. Nie mogę zgodzić się na rozstanie z górami z jednej strony, a z drugiej jak to byłoby, gdyby mogło być inaczej niż zwykle bywa? Na początku mojego tutaj pobytu próbowałam odpadać bardzo często, teraz tylko czasami. Próby nie na wiele tu się przydadzą, strachu nie a nie nie potrafią umniejszyć.

Dawne to czasy. Góry dochowały wierności i są ze mną nawet tutaj. Myślałam dawniej, że są tylko dla młodych i silnych. Okazało się, że jestem w błędzie. Wracają do mnie kiedy tylko zapragnę, otaczają, zamykają w sobie, a co najważniejsze, pozwalają przełożyć swoją nieskończoność na marność tynku.

Lóżko za szafą

JAK ja ich nienawidzę, tych wszystkich odwieczających. Wystrojeni w futra, w amerykańskie koszule, przyjeżdżają samochodami, albo PKS-em, przynoszą ciastka, kielbase, kwiatki i myślą, że wszystko w porządku. Wilki w owczych skórkach. Najpierw pozbyli się nas, a teraz jeszcze udają, że to nie z ich winy.

Ja też miałem ich pięć, dwie córki i trzech synów. Wszyscy na stanowiskach, dobrze zarabiają, mają nowoczesne mieszkania, a nawet dwoje kupiło sobie auta. Ile mi to kosztowało, wie tylko nieboszeczka Aniela. W szkole i na studiach niby mieli stypendia, ale drugie tyle trzeba było dać — a to na wycieczkę, a to na ubrania, na książki, na zabawę i tak bez końca. Nie starczało ani dnia, ani nocy, tak pracowaliśmy, aby mieli jak inne dzieci. A teraz od trzech lat słyszę tylko „proszę pana”, albo „panie Janie”, albo „wy”, a mnie aż pachnie, by ktoś powiedział „tato”.

Lóżko przy drzwiach

OTEJ chałupie to im nalgałam. Wszystkie poza Karolcią, tą z kąta, przechwalały się, jak to one mieszkały. Dokładniutko opowiadały ile było drzwi, okien, jakie firanki, jak wchodziło się do kuchni, ile było fajerek i jak duża była kuchnia. Opowiadały też o komorach, a te z miasta o spiżarkach i lodówkach. Tak to wszystko umiały namalować, że można by z ich słów na nowo odbudować. Czasem to nawet wydawało się, że jest się w tym domu i że czuje się zapachy. Wiadomo przecież, że każdy dom pachnie inaczej. Nie to, co u nas na korytarzu. Nijak nie można niektórych dopilnować, by się nie moczyli i stąd ten niemiły zapach.

Nagabywały i mnie, żeby im opowiedzieć o moim domu. A co ja im mogłam powiedzieć? Że tak naprawdę nigdy domu nie miałam. No bo jak w czternastym roku spaliła się nasza chałupa, to i tak już byłam we dworze, w kuchni pomagałam. Później wzięli mnie na pokoje. Ach, jakie tam były bale! Czasem teraz pokazują takie w telewizji. Nawet i sukienki teraz szyją podobne. Tylko muzyka, wydaje mi się, że była ładniejsza, tak więcej dopasowana do strojów. One, te, co teraz ze mną mieszkają, ganiały wtedy za chłopakami, wychodziły za mąż. Biedniej albo bogaciej, ale wychodziły już na swoje. Nie powiem, żeby mnie nikt nie chciał. Czasem nawet panice prosili, żebym poczekała na któregoś w ogrodzie, albo na korytarzu. Jeszcze częściej

Pamiętam, w czterdziestym trzecim byłem w lesie. Kazali mi zrobić zasadzkę na komendanta SS w naszej wsi. Miał on tego wieczoru jechać do miasta. Droga od wsi biegła początkowo polem, a potem przez las. W tym lesie ja i jeszcze jeden z oddziału zasadziliśmy się. Słyszymy warkot zbliżającego się motocykla. Kierował maszyną młody SS-man, a w koszyku siedział komendant. Zawsze jeździł sam. Tym razem, na nieszczęście tego młodego, jechał w towarzystwie. Kolega mnie ubezpieczał, a ja miałem strzelać. Ponieważ było ich dwóch, ja pozostałem przy komendancie, a kolega mierzył do kierowcy. Po strzałach, prawie równoczesnych, komendant poderwał się z siedzenia, ale zaraz osunął się w kółko. Natomiast kierowca zaczął uciekać do wsi. Puściłem krótką serię i ten też padł. Był rozkaz dostarczenia po akcji dokumentów. Podbiegliśmy do motocykla. Komendant już nie żył, nie było więc trudności z wyjęciem mu portfela. Kiedy przybiegliśmy do kierowcy, ten jeszcze żył. Podkurczał i prostował nogi, zaciskał i prostował palce miętosząc w nich ziemię i dojrzejące kłosa żyta. Nie wiedzieliśmy, co robić? Dobić nie wolno, zabrać i udzielić

zaganywali parobcy albo fonałe. Ale mi jakoś nie było pilno i tak zostałam starą panną we dworze aż do wojny, znaczącej się tej ostatniej.

Ile się to wtedy ludziska naciępieli biedy! Naszą wieś Niemcy przesiedlili aż do trzeciego powiatu. Wszyscy wyjechali, cała rodzina, ja zostałam, bo został dziedzic. Ale i dwór z roku na rok pustoszał coraz bardziej, aż w końcu i dziedzic wyjechał. Za to za kilka tygodni znowu w folwarku było mnóstwo ludzi. Przyszło wojsko, Polacy i Rosjanie, młode chłopaki, że aż było żal posyłać ich na wojnę. Pamiętam był taki młody, sprytny Kozak. Rano wygrzebał się ze stogu siana i przypatrywał, jak jego koleździ na koniach skaczą przez płot. Naraz sam, poklepawszy się po udach, zarzął jak najprawdziwszy koń, wziął rozbieg i jeszcze wyżej niż owi na koniach przeskoczył płot. Tak mi się to podobało, że dałam mu ze dwa kilogramy słoniny, com ją miała schowaną pod kuchennymi schodami.

Po wojnie też mieszkalam i pracowałam u ludzi. Jakiś czas służyłam u księdza na plebanii, potem jak umarł, przeszłam do doktora, a ostatnio to bawiłam dzieci. Nie, nie dawałam maku, ani wódki, lubiłam te nie moje i moje dzieciaki. One mnie też lubiły, nazywały mnie baba, jabcia, czasem ciociu. Jak Matka Boska Częstochowska nosiłam je na lewej ręce. Prawą musiałam mieć wolną, żeby trochę posprzątać, czy też garnki na kuchni przestawić, albo drzwi otworzyć. No i tak zeszło życie, a domu sobie nie zbudowałam.

Chciałam przynajmniej zbudować sobie grobowiec, ale gdzie? W tej parafii nie jest miejsce pewne, bo tu przewlekłe chorych nie trzymają. W innej musiałby ktoś podpisać, że mnie przewiezie i pochowa. A kto podpisze jak nie ma nikogo? Pewnie tak mi już przeznaczone, żyć bez domu.

Nie mogłam im tego wszystkiego powiedzieć, byłoby ze mną tak, jak z Karolcią. Uważają ją za

pomocy też nie było jak. Przewróciliśmy chłopaka na plecy.

I tego momentu nie mogę zapomnieć. Spojrzał na nas, rozchylił wargi, wtedy pojawiła się w nich krew, w takich małych, spienionych kuleczkach, pęcherzykach jak czerwone porzeczki. Kiedy jeszcze bardziej otworzył usta, krew popłynęła strużką przez policzek aż na szyję. Wyszepiał: mutti, mutti, meine mutti. To były ostatnie jego słowa.

Troje moich urodziło się po wojnie. Ile razy brałem je pierwszy raz na ręce, slyszalem tamto — mutti, mutti. Wiem, że nie mogłem inaczej w wojnę postępować, ale ciągle mi się wydaje, że śmierć tamtego chłopca, narodziny moich synów i moja starość mają jakiś związek. Jaki, nie wiem. Ale pewnie mają.

To, że mnie wyrzucili z domu, to jeszcze nic. Ale mogliby przyjechać. Bez cukierków i kwiatów, ot tak zwyczajnie jakby nigdy nic, jakby w odwiedzinach do mojego a nie państwowego domu. Prawie każdej nocy po wygaszeniu światel siadam na łóżku, spuszczałam nogi na podłogę i biorę całą piątkę na kolana. Gładzę po główkach, pieczołtliwie tarmoszę za uszy i szczypię w policzki. Laskocze je pod brodą i słyszę śmiech. Rytmicznie poruszając nogami znowu wożę je na koniu. Nie mogę ich tylko ucałować i to boli najbardziej, tak samo jak to, że nikt na mnie tutaj nie zawoła „tato”.

gorszą od nich, bo też nie miała swojej chałupy i żyła tylko kątem u siostry. Podła to baba, ta jej siostra. Wyzywała Karolcią, nie dawała jeść, a do roboty i na zarobek gonila, nawet rentę zabierała.

Naopowiadałam moim, że miałam dom jak się patrzy. Był w nim duży pokój z trzema oknami i dwójciem drzwi. Jedne prowadziły do sieni, a drugie, za piecem, do kuchni. Miałam w niej duży piec chlebowy, blachę z czterema fajerkami, duchówkę i nawet w kominie wędzarnię. W sieni miałam beczkę z kapustą i wejścia, jedno do komory, a drugie, po drabinie, na strych.

Tym opowiadaniem też napytałam sobie niechęć biedy. Mówiła mi taka jedna, co tu mieszka, że w jej miasteczku rozpytywała się o mnie doktorowa. Jej synowi urodziło się dziecko i szukają nianki. Odpowiedziałam, że takich nazwisk jak moje jest dużo i że na pewno chodzi o kogoś innego. Boję się tylko, że mogą tu przyjechać i wszystko wypaplać i znowu będzie po moim mieszkaniu i to już na zawsze. No bo jak odbudować mieszkanie, jeśli jest ono tylko w nich? We mnie też, ale ja wiem, że nie jest ono tak całkiem prawdziwe. Może i one nie dowierzają, ale jak opowiadałam, to słuchają, pytają, dorzucają tymi pytaniami do mego mieszkania to jakiś mebel albo naczynie, a czasem to nawet pokazuja gościom drogę do mojego domu. No bo jeśli pytają, jak w moim domu wyglądały święta, to im znowu zmyślałam.

Być może, że te ich domy są tak samo prawdziwe jak i mój i że są tylko w nich i we mnie. Ale niech już tak będzie! Tak chyba będzie najlepiej.

Zal mi tylko Karolci, że nie ma nawet takiej jak my, zmyślonej chałupy.

OKO -LICE SZTUKI -KI

Niech będzie okręgowa...

Od dziesięciu bodaj lat wernisaże wystaw okręgowych nie cieszą się większym zainteresowaniem publiczności, oficjalnych instytucji, a nawet samych artystów. Mało tego: zawartość tych pokazów zdegradowała je do rzędu imprez drugorzędnych, czysto okazjonalnych, mało znaczących dla środowiska twórczego — nie tylko w Lublinie, ale w całym kraju. Dlaczego tak się stało?

Pierwszy i skuteczny strzał „w samo serce” wystaw okręgowych oddały ugrupowania awangardowe, które z natury rzeczy odzyskiwały się, od połowy lat pięćdziesiątych, od imprez niejako eklektycznych, gromadzących pod jednym dachem tzw. kalejdoskop tendencji, orientacji i postaw. Awangarda zawsze starała się lokować poza oficjalnym nurtem życia artystycznego, zawsze atakowała ustalony struktury tego życia, zawsze była w opozycji do status quo. W niewielkim tylko stopniu podważała te diagnozy, że właśnie w Lublinie poszczególni reprezentanci awangardy dość regularnie brali udział w pokazach okręgowych.

Dobila tego rodzaju wystawy sytuacja w sztuce lat sześćdziesiątych, sytuacja skądinąd niezwykle owocna dla polskiej kultury i profilowana niesłychanym urodzajem na przeróżne wyspecjalizowane imprezy plastyczne w rodzaju plenerów, sympozjów, spotkań teoretycznych, nierzadko o zasięgu międzynarodowym (Osieki, Zielona Góra), przy których prezentacje okręgowe okazywały się anemicznymi karzelkami prowincjonalnych aspiracji. Udział w wystawach okręgowych nie przydawał prestiżu, nie liczył się na giełdzie środowiskowej. W notach biograficznych artyści skrzętnie gromadzili inne fakty: uczestnictwa w wystawach ogólnopolskich, międzynarodowych i zagranicznych. Przypomnijmy, że lubelscy malarze i graficy eksponowali prace we Francji, Kanadzie, Japonii, Szwajcarii, RFN, krajach skandynawskich, na Węgrzech. Może się mylić, ale kto wie, czy uformowanie się tej ogólnopolskiej i światowej perspektywy nie wpłynęło negatywnie na stosunek niektórych artystów do spraw lokalnych. Wyzwolenie się spod wątpliwych uroków anachronicznie pojmowanego regionalizmu prowadzi nierzadko do generalnego zakwestionowania idei opartej na „tu i teraz”, operacji tyle efektownej i „ambitnej”, co w swoich konsekwencjach zagrażającej pozycji sztuki konkretnego kraju w uniwersalnej kulturze artystycznej.

Tego rodzaju postawa zdaje się odchodzić w przeszłość — to jedno. Awangarda jako mniej więcej określona i zwarta formacja artystyczna już właściwie zanikła. W tej chwili jest to w gruncie rzeczy konwencjonalny sposób bycia i działania, uprawiany na terytorium bez granic przez całe rzesze ludzi, których dokonania są jeśli nie akceptowane, to przynajmniej tolerowane przez szeroką publiczność i artystów odwołujących się do tradycji malarskiej, której naczelną sprawą jest sprawność warsztatu. Awangarda traci społeczne racje bytu, bo nie ma przeciwników, i przekształca się w instytucję samą dla siebie. Jan Swiżdziński informując o przebiegu ubiegłorocznej konferencji na temat założeń sztuki kontekstualnej (Toronto), wtrąca mimochodem i z pewną satysfakcją, że „Publiczność stanowią kanadyjczy i amerykańscy artyści oraz ludzie profesjonalnie związani ze sztuką”. (Szkoda,

że uznający się za twórcę pojęcia sztuki kontekstualnej Swiżdziński ani słowem nie wspomina, że w amerykańskiej myśli estetycznej lat czterdziestych, np. w wydaniu Johna Deweya, pojęcie to i związany z nim problem poznawczy występują wręcz nagminnie!)

Wiele wskazuje na to, że znajdujemy się w nowym i jakby nieoczekiwanym okresie kulturowym. Bo z jednej strony obserwuje się powrót do wartości rodzimych, wyrosłych z tradycji danej zbiorowości lub formowanych przez lokalny pejzaż społeczny, co najlepiej ilustruje twórczość Dudy — Gracza i młodego pokolenia rysowników związanych z prasą oraz grafików; z drugiej zaś widzimy, że równouprawnienie różnych tendencji, szkół i postaw artystycznych stało się faktem. Jeśli nawet ktoś byłby zdania, że mamy do czynienia z okresem przejściowym i system komunikacji symbolicznej, jakim jest sztuka, rozwinię się w kierunku wyznaczonym przez np. hapnerów, konceptualistów czy ludzi z kręgu fotoartu, to przecież nikt nie jest w stanie dziś przewidzieć jego granic czasowych i następstw społeczno-kulturowych.

W tej sytuacji właśnie dostrzegam możliwości przywrócenia sensu i prestiżu imprezom takim, jak wystawy okręgowe, prezentujące dokonania twórcze lokalnego środowiska. Ostatnia wystawa okręgowa ZPAP w Lublinie może być dobrym punktem wyjścia do spełnienia owej nadziei, albowiem okazała się nie tylko różnorodna pod względem stylistycznym, ale zawierała ponadto sporo prac sygnowanych przez ludzi młodych, mało dotąd znanych w

Krakowie zaczyna budować obrazy nie tylko zwracające uwagę swym przesłaniem ideowym, ale także formą malarską.

Gdyby natomiast spojrzeć na ekspozycję pod kątem najciekawszych, najbardziej sugestywnych prac, to na czele ewentualnej listy, która powstałaby po tym zabiegu, należałoby umieścić — w kolejności alfabetycznej, rzecz jasna i asekuracyjna — obrazy Juliusza Kleczka, Teofila Wiktora Kosiorzewicza, autora naprawdę świetnych „Kwitnących drzew”, Krzysztofa Kurzątkowskiego, Edwarda Nadulskiego, Mariana Stelmasika, Jerzego Trutkowskiego... Jest to oczywiście wybór arbitralny i subiektywny, każdy ma prawo nań nie przystać. Zakładam możliwość dopisania nazwisk wspomnianej młodzieży.

W salach BWA poza malarstwem pokazano też rzeźbę, na ogół o charakterze figuralnym, autorstwa Bogdana Markowskiego, Kazimierza Stasza, Marii Siuty-Goreckiej, Ryszarda Smiecha i Stanisława Strzyżyńskiego (który w tym roku obchodzi jubileusz 25-lecia pracy twórczej). Powiem krótko: w tej dyscyplinie stale obserwujemy wyraźny postęp, dojrzały Strzyżyński nie ustępuje pola młodemu Markowskiemu, sporo można chyba spodziewać się w przyszłości po Staszku. Zresztą perspektywy rzeźby w Lublinie rysują się co najmniej zachęcająco, a to w związku z żywym zainteresowaniem tą dyscypliną ze strony studentów Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, gdzie Sławomir Mielezko prowadzi zajęcia z takim zapamiętaniem, z takim ogniem



Stanisław Strzyżyński: „Portret prof. Jarzaba”

Fot. L. Malicki

Lublinie, a przy tym dość interesujących. Mam na uwadze płótna Teresy Lidii Gorzelskiej, znamionujące znaczną wyobraźnię o charakterze nadrealistycznym oraz niezły warsztat. Gdyby nie wpisanie sylwetki kobiecej w karkafkę w „Samotności”, pretensjonalne niestety, powiedziałbym na temat twórczości absolwentki gdańskiej PWSSP więcej słów ciepłych. Gorzelska należy już właściwie do średniego pokolenia, uczelnia kończyła w 1967 roku, ale wzmianka o niej w tym właśnie miejscu znajduje uzasadnienie w nadziei autora, że puławianka z urodzenia ładnie nam się rozwinię. Warto też wskazać z życzliwością na prace takich autorów, jak Stanisław Gorecki (dyplom krakowskiej ASP w 1974 r.), Alicja Kuśmierczyk (ASP w Warszawie dwa lata temu), Grażyna Markowska (gdańska PWSSP w 1972 r.), Jerzy Jan Tomaszek (UMK w Toruniu ukończył w minionym roku), oraz Marek Rzeźniak, który osiem lat po otrzymaniu dyplomu ASP w

(twórczym), że młodzież nawet po nocach gładzi gipsy i miętosz glinę (bo innych materiałów nie ma, niestety).

Więc wystawy okręgowe mogą nabrać sensu i prestiżu — ale tylko wówczas, jeśli w lubelskim środowisku plastycznym wytworzy się autentyczne poczucie wspólnoty i poczucie odpowiedzialności za sztukę i jej społeczną obecność. Wytworzy się, czy nie? Jest to pytanie retoryczne właściwie, ale ośmielam się zaadresować je do Ryszarda Lisa, nowego prezesa Zarządu Okręgu ZPAP w Lublinie, któremu przy okazji życzę zręczności węża w trakcie rozwiązywania pewnych spraw Związku, który liczy obecnie 122 osoby.

IJK

P. S. Biuro Wystaw Artystycznych w Lublinie uparło się i od czasu do czasu wydaje katalogi bez spisu prac znajdujących się w ekspozycji. Skąd to niechlujstwo u zacnego skądinąd edytora?!

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Niezwykłe oświetlenie dworca drogi żelaznej Nadwiślańskiej ścignęło wczoraj na przedmieście Piaski tłum ludności dochodzący paru tysięcy osób. Tłoczono się ze wszystkich stron, przeciskano najszczuplejszymi szparami, aby tylko zobaczyć... latarnie. Stróża porządku publicznego pracował z wytężeniem nad utrzymaniem tegoż porządku, lecz nadaremnie. Poważni meżowie i podeszłe matrony przekazywali w jednym skoku sztachety, buńczuczna młodzież z odważą godną lepszej sprawy stawiała czoło... niebezpieczeństwu dostania się na platformę. Nareszcie o godz. 9-tej oświetlony trzema kolorowymi latarniami nadszedł pociąg wiozący Komisję odbiorczą. Przy pięknej pogodzie, choć niskiej temperaturze [...] powracali ludzie do miasta. Komisja zaś przenocowawszy w powozach odjechała w dalszą podróż. P.S. Droga do dworca potrzebuje na gwałt oświetlenia — mogą być smutne wypadki.

„Kurier Lubelski”

PRZED 50 LATY

Nowa komunikacja samochodowa uruchomiona będzie w najbliższym czasie między Lublinem a Zamościem. Spółka „Autopol” otrzymała już pozwolenie na wypuszczenie autobusów, które kursować będą codziennie, niezależnie od ilości pasażerów. Wyjazd z Lublina odbywać się będzie przed Bramy Krakowskiej o godz. 18.30, przyjazd do Zamościa na ul. Rynek o godz. 22.30. [...]

Nubjologię lubelscy zaobserwować mogli przedwczorajszą ulęc, nader ciekawą a rzadką w meteorologii grę chmur. Na wysokości około 400 metrów przesuwały się jedne kłęby wprzód, drugie cofały. Kłębowiska tworzyły ciekawe formy przy nader charakterystycznym naswietleniu. Po silnym wietrze spadł rzęsisty deszcz, który straciwszy na nasyceniu padł przez całą noc.

Stutysięczny przeseł Lublin zyskał w roku ub. po wielu trudnościach i długich latach wyczekiwania łaźnie ludowe na Bronowicach. Od pierwszych dni cieszą się one liczną frekwencją. Natomiast kabiny natryskowe nie cieszą się powodzeniem, stoją najczęściej pustkami. Magistrat, pragnąc udostępnić większej liczbie osób korzystanie z kąpielii, przetrabia obecnie 8 kabin na 2-osobowe łazienki.

Upały w dalszym ciągu ani na chwilę nie słabną. W dniu wczorajszym termometr na Bramie Krakowskiej zanotował następujące wyniki: godz. 6.00 rano 22°, godz. 12.00 w południe 29°, godz. 3.00 po południu 31° i 6 wieczorem 31°. Maximum nastąpiło ok. godziny 3.30, kiedy termometr wskazywał 32°.

„Głos Lubelski”

Nasz dworzec kolejowy od czasu remontu ozdoba Lublina, budynek miły dla oka, posiada poza zładnią powierzchnią tyle braków, że wypisanie ich przekroczyło by normy niniejszego artykułu. Najważniejszym jednak brakiem urągającym prymitywnym potrzebom pasażerów jest absolutny brak wody na peronie. Tym bardziej, że miesiące letnie, upały czasami kilkudniowe, wypędzają z gorących i dusznych wagonów na peron w poszukiwaniu ożywczej wody. I jakby na urągawisko są krany, jest połączenie, a wody w nich ani na lekarstwo. Stosunki takie tworzą zrozumiałą zresztą osadę rozgoryczenia wśród częstych przejezdnych i słusane zdziwienie, wywołane tą niezaradnością, czy niezapamiętaniem o potrzebach ogółu.

Od dwu przeszło miesięcy Magistrat Lubelski wazał roboty ziemne przy ulicy Al. Italcawickie, przeprowadzając regulację chodnika lewej strony. Od piekarni usunięto ogrodzenie i w ten sposób rozszerzono chodnik. W stronę rogatki całą przestrzeń zniewolono, a obecnie już przeprowadzane są prace przygotowawcze do ułożenia płyt chodnikowych. Dziwi nas tylko jedna rzecz, która zaobserwowaliśmy, to mianowicie, że na gruncie stałym po raz trzeci ziemia jest nawożona i plantowana. Uważamy, że ta nieobmyślona praca narazi miasto na wielkie straty, a mieszkańcy tamtej dzielnicy w porze deszczowej narażeni są na błoto nie do przebycia i zlorzeczają zarządowi miasta.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała Anna Orzechowska

Eugeniusz Gołębiowski

OT — dwie czwórki — i zagadka. Kiedyś widziano w niej symbol wiary w cudowne ocalenie, dziś to szacowna pamiątka. Dziwić może tylko, że opatrzone ją komentarzami, w których miesza się powaga tradycji z... kabałą. Bo rzeczywiście jak tu nie dziwić się takim wywodom:

Liczbę 44 rozłożyć najłatwiej na 40 i 4, co nawet zdaje się być wskazane słowami „czterdzieści i cztery”. Otóż w alfabecie hebrajskim czterdziestką jest M., czwórka D. W hebrajszczyźnie [...] zasadniczymi składnikami słowa są spółgłoski i tylko spółgłoski są literami, samogłoski pierwotnie wcale nie były oznaczane, później wprowadzono dla nich system punktów pod literami. Najprostszym odpowiednikiem liczby czterdzięci będzie imię, którego spółgłoskami są M. i D. Nietrudno je znaleźć — ma ono tradycję najstarszą i ma w chrześcijaństwie i w judaizmie wartość ideową i uczuciową jak najogromniejszą. Imię to brzmi: Adam. Mąż czterdzięci i cztery to nowy Adam, Adam-Mesjasz. Ze o Mesjasza idzie, wynika z całego „Widzenia”; ale i liczba to wskazuje: M — czterdziestka — jest literą Mesjasza. Księga Zohar jednak, podstawa kabalistyki, podaje jako cyfrę Adam 45. Rzeczywiście, stosując gematrię w sposób najupiększający, otrzymuje się równanie: Adam = 45, bo imię Adama ma w pisowni hebrajskiej nie dwie, ale trzy litery; zaczyna się od przydechu, oznaczonego przez „aleph”; ponieważ „aleph” (alpha) = MM I, więc A.D.M. = 45. [...] Czy o tym wszystkim Mickiewicz wiedział i myślał — można wątpić. Ale nie można wątpić, że znał poglądy Saint-Martina na mistykę liczb. [...] Otóż Saint-Martin miał niechęć do piątki i dziewiątki, pierwszą (za przykładem Martineza de Pasqually) uważał za liczbę złego, drugą za liczbę, związaną ze światem materii. 45 mogłaby chyba stanowić liczbę Adama grzesznego, upadłego. Zatem 44 odpowiada wszelkim postulatom, jakie stawiał mędrzec. Pisane jest jako kombinacja dwu czwórek, umiłowanych przez „filozofa nieznanego”, w dodawaniu teozoficznym daje 8, nad której to cyfry doskonałością rozwodził się mistyk. Jako iloczyn $44 = 4 \times 11$, czyli wiąże z czwórką ważną w masonerii jedenastkę, albo też $4 \times (4 + 7)$ względnie $4 \times (3 + 4 + 4)$, co znowu wprowadza liczbę świętą dla Saint-Martina. Liczbą Adama Mesjasza może więc być tylko 44.

Nominacje osoby „44” były jednak od dawna zróżnicowane. Jedni przypisywali ową liczbę Adamowi Mickiewiczowi, drudzi — Adamowi Czartoryskiemu, inni — Andrzejowi Towiańskiemu. Głoszono też poglądy, że Mesjaszem może być ktoś, kto nie nazywa się wprawdzie Adam, lecz jest „nowym wcieleniem Adama”.

Kabała jak to kabała, wystarczy niewierzyć i jest cud albo... zagadka. Ale czy trzeba sięgać aż do kabały, do gematrii, do Adama? Nie trzeba. Zagadkę „44” można wyjaśnić w sposób prosty, naturalny i bibliograficzny. Na przekazywanie poetyckim.

W „Psalterzu Dawidów” J. Kochanowskiego czytamy:

*(Panie) prostos nas zabaczil
aniś przed wojskiem naszym okazać się
raczył.
Twoja stelską się stało, żeśmy tuł podali
I niewiernym poganom w ręce się dostali.
Jesteśmy jako owce na rzeź oddane;
Rozproszyłeś nas między pogaństwo zel-
zone,
Zaprzedałeś nas, lud swój, prawde niebooato,
Albowiemś nagrody żadnej nie wziął za
to,
Wzgardę zeusząd odnośm, szyderstwa cler-
dymu.
Prawde wszystkim na końcu języka ste-
dzimu.
Watyłd oczom nie dopuścił pojrzeć
śmiejąc, śmiejąc,
Widząc zeusząd nałmteuce i nieprzysła-
ciele.
To cierpiąc, ażamy Cie, Panie zabaczil?
Albo przecie ustawom Twoim ustanoil?
Nie szło uspak serce nasze ani z Twojej
drogł
Prawdziwej ustąpił najnamiej nasze nool.
A toś nas między smoki zomknął okrutnymi
I okrył ciemnościami prawde śmiertelnu-
mi.
Jeślibuchmu tmienia Twego przebaczył
Albo cudzemu boou ofiare palił.
Ażaby to przed Tobą tańno było, który
Serca nasze i myśli wszystkie widziś
góru?
Dla Ciebie mordu cierpił, a Twoje niewin-
ne
Stuot równie błął, jako owce inne.
Powstań, Panie, a ten sen zetrzy z oczu
Twoich!
Ani wlecznie oddałaś od siebie sług Twoich!
Czemu smog twarz odwracasz? Czemuś swej
Hrości
Zapomniał w tej okrutnej naszej doleali-
wości?
Serce w nieszczęściu tafo i myśli strapione,
Ciała, siły pozbawszu, leża obalone.
Powstań, Panie, a wywołł smutna wlecznie
swoje;
Prosim Cię, przez wrodzone miłosterdzie
Twoje!*

Nietrudno stwierdzić, że motywy nawiązujące w tych wersach znalazły odbicie w „Dziadów cz. III”, w obrazach „dolegliwości” narodu, w Konradowym oskarżeniu Boga i w „Widzeniu” księdza Piotra. Można by te zbieżności tłumaczyć przypadkiem, gdyby nie fakt, że cytowane wersy mieszczą się w psalmie pod numeracją... „44”. Głównym bohaterem jest tam bóstwo Dawidów, Kochanowskiego, Konrada, księdza Piotra — a imię jego „44”

Dodać tu trzeba, że wyraz „imię” miał i miewa różne odpowiedniki znaczeniowe, m.in. takie, jak: „tytuł”, „sława”, „rodzaj”, „kategoria”, „opinia”, „rozgłos” itp.

Ze studium „Prawda Dziadów cz. III”.

Zdanie i ziemia

ALEKSY Kazberuk ma własny styl. Jaki? Trudno określić, jak zresztą trudno określić wygląd człowieka. O kobiecie na przykład powiemy, że ma ujmująco sklepione czoło, kasztanowe pukle włosów i oczy opalizujące jakimś ujmującym urokiem. Tak samo możemy mówić, że wiersz jest oryginalny, interesujący, zmuszający do refleksji. Co powiedzieliśmy? I tu i tam nie.

Kazberuka „Harakiria” (Wiersze to? Proza? Wydaje się, że ani jedno ani drugie. Kazberuk odchodzi od określonego rodzaju nie na skutek formalistycznej, czy eksperymentatorskiej przekory, ale dla poszukiwania tego gatunku mowy, który mu najbardziej odpowiada. W którym ma nadzieję natknąć się na nieeksploatowane pokłady znaczeń. To jest jego praktyka własna, czasem aż odkształcona od przyjętych tropów. Na przykład o Heraklesie mówi, że włożył koszulę wypraną przez Dejanirę w falach Alfejosu. Czy to było w falach Alfejosu? Mitologia o rzecce milczy, mówi natomiast o krwi centaura Nessosa, o tym zaś z kolei milczy Kazberuk. Nie chce wchodzić w ślady mitologii przyjętej. Wchodzi w mitologię własną.

Jedną z jego materii to zdanie. Jak bardzo chce ten autor odejść od kojarzenia słów praktykowanego w mowie spotykanej. Jak bardzo unika związków spodziewanych! Nawet tam, gdzie chce wyrazić ideę mu bliską, np. umiłowanie przyrody, co intelektualnie nie jest skomplikowane, co by nawet zyskało na pewnym uproszczeniu, zrywa z naturalnym szeregiem słów. Zawsze chce powiedzieć coś o krok dalej. Wie, że jeśli niebo ma być tylko niebieskie, razowy chleb tylko czarny, a uśmiech męczyny tylko łagodny — nie stanie się poezja.

„Poezja”. A postawiliśmy znak zapytania nad słowem „wiersz”. I słusznie, bo Kazberuk „wiersza” unika, wie jak łatwo zapisać kartkę nie docierającą do końca. Chce, żeby — nawet z narażeniem na prozajizm, niechby przy końcu zdania — dotknąć tego pulsującego ośrodka, który ożywia myśl, spost-rzeżenie, zamiar wypowiedzi. Tak, mówić o tym można tylko w sposób dość niesprawdzalny. Ale inaczej nie zbliżymy się do założeń Kazberukowego pisarstwa.

Bądźmy trochę przekorni: czy nie ma w tym jakiejś hipertrofii? Obawa banału — tak, ale bójmy się i świadomości, że banału należy unikać. Bójmy się zagrożenia banałem, które podobno tak uparcie na autora czatuje. Nie przyjmujemy tego do

wiadomości. Zdobyć się na większą swobodę ręki — tak, ale ona nie wynika z tej napiętej samokontroli, która każde słowo musi podrywać w metaforę. Nie każdym wersem mamy stawić na baczność wyobraźnię. U Kazberuka jest to tym dziwniejsze, że tak wiele przywiązania do ziemi ojczystej, do prostych spraw życia składa się na drugą materię jego twórczości.

I jeszcze co? Nadmiar argumentów. Kazberuk swoją poetyką tezę chce tak uzasadnić, żeby czytelnik nie miał odwrotu. Żeby mógł ją tylko uznać. Prawda, przykłady tego spotykamy w piśmarstwie wielu poetów, ale rzecz gustu, który z dwu sposobów — dowodzenie i sugerowanie — jest najskuteczniejszy. Mówi się, że współczesna poezja nie stawia kropek nad „i”. Ze dopuszcza możliwość dialogu. Sama w sobie możliwość dialogu nie jest ani pożądana, ani niepożądana, rzecz w tym w jaki sposób ów dialog, czy jego brak, się traktuje. Powiedzmy dość nieprecyzyjnie (a zgodziliśmy się, że o tych utworach z nadmierną precyzją mówić nie można): bywa rozmówca przez swą elokwencję czasem trudny. I to Kazberukowi grozi. Dopada słowem, nie daje wytchnienia. Prawda, słowem czynnym, energicznym, nigdy banalnym, ale ten przyspieszony rytm jest niekiedy zbyt wymagający.

Grymaszę? Są utwory, na temat których nawet grymasić nie warto. Bo mnie się tu przypomina Rimbaud. Nie ze względu na podobny kształt graficzny „Illuminacji”, czy „Sezonu w piekle”. Ze względu na podobne poszukiwanie sensów, przeskoków, spięć ze względu na gwałt zadawany słowem, by zechciały wreszcie wyjść z leksykonu. Co oczywiście nie mówi o żadnej filiacji. Aż nadto wyraźnie się czuje, że Kazberuk pisze utwory własne.

Dawniej w recenzenckim użyciu znajdował się termin „propozycja”. Co za inteligentna ohyda! Ohyda, bo do spraw twórczości, a więc najgłębszego wypowiadania siebie, przystawiało okoliczności natury towarzyskiej, konwencjonalnej, zdawkowej. Propozycja — to znaczy, że na miejscu nie przyjętej może być inna. W tym sensie poeta nie proponuje. Poeta mówi. A jest satysfakcją, jeśli mówi z pozycji oczekiwanej i właśnie przez to innej.

Kazberuk takie miejsce — zdaje się — znalazł.

Zygmunt Mikulski

*) Aleksey Kazberuk: „Harakiria”, rysunki Jerzego Tadeusza Leniewicza, Iskry, 1977, str. 163, cena 20 zł.

Gdy myślę - Lublin...

MOJA PAMIĄTKA

Jan Szorc

DZIAŁO się to na początku lipca w pamiętnym roku 1944. Byłem wówczas pracownikiem w Izbie Przemysłowo-Handlowej w Lublinie.

Pewnego dnia Niemcy skierowali wszystkich do kopania okopów na peryferiach Kalinowszczyzny. Znając język niemiecki, dogadałem się z pilnującym nas wartownikiem i po krótkiej rozmowie okazało się, że jest on zmobilizowanym Czechem, muzykiem i dyrygentem orkiestr dętych. Szybko znaleźliśmy wspólny temat, a w rezultacie wyjaśniliśmy sobie, że ta kopanina okopów nie ma żadnego sensu. Od tej pory miałem stać z łopata w ręku i nie robić, a cały nasz zespół miał za mnie brać przykład. Raz tylko przyjechał na koniu jakiś inspektor niemiecki i trochę się zdziwił, że tak mało zro-

biono, mimo iż wszyscy wówczas pracowali gorliwie — oczywiście, dopóki nie odjechał.

Ziemia dudniła, zwłaszcza gdy przyłożyło się ucho do niej — były to dźwięki bitwy pod Kowlem, znajdującym się około 140 km od Lublina. Z dnia na dzień stawały się one coraz głośniejsze, zaś Niemcy coraz wyraźniej szykowali się do odwrotu, zwłaszcza ich urzędy.

Izba Przemysłowo-Handlowa została skierowana do Radomia razem z pracownikami polskimi.

Ja natomiast myślałem o Bełżycach, dokąd jeszcze w listopadzie 1942 r. moi rodzice zostali wysiedleni przez „Stadthauptmannschaft” i dokąd skierowałem moją żonę, która 12 lipca, na dwanaście dni przed wyzwoleniem Lublina, urodziła naszą jedyną córkę, znającą dziś wojnę tylko z lektur, historii i opowiadań.

Licząc się z tym, że zawierucha wojenna Lublina nie ominie, rzeczy ruchome ulokowałem w trzech różnych dzielnicach miasta, sądząc, że może część ocalać. I już 12 lipca wyszedłem z miasta bocznymi drogami: przez Rury, obok Starego Lasu, przez wieś Stasin. Trzeba było przejść szosę krasnicką, a nie było to łatwe — kręciło się po niej wielu Niemców w autach, na motocyklach, pieszo; jeździli i maszerowali w różnych kierunkach, wyraźnie zagubieni, przeczuwając że są otoczeni.

Jakaś „dama” wzięła mnie do swej bryczki. Uciekała gdzieś w kierunku Wisły; opuściliśmy ją, gdy drogi nasze się rozeszły i tylko z daleka widziałem jak Niemcy wymieniali jej bryczkę na drabiniasty wóz. Piechotą poszedłem przez Babin do Bełżyc, żeby zobaczyć żonę i dziecko, a stamtąd udałem się na wieś do rodziców.

Powitanie w następnych dniach wojska polskiego i radzieckiego w Bełżycach przez zastraszoną i zabiedzoną ludność było pełne entuzjazmu. Ludzie

plakali i radowali się na przemian; witano, goszczono i częstowano wyzwolicieli — wieczorem rozległy się pieśni żołnierskie i partyzanckie.

Dopiero 25 lipca udaliśmy się do Lublina ponownie. Przynajmniej mnie radziecki oficer i zawiolił swym autem do miasta. Byłem mu wdzięczny, gdyż inna komunikacja jeszcze nie funkcjonowała.

W Lublinie zastałem kompletne pobojeowisko, zwłaszcza w Alejach Racławickich. Ale rzeczy i mieszkanie przy ul. Olejnej ocalały, tak że mogłem je przygotować na przyjazd rodziny.

Zona przystąpiła wówczas do pracy literackiej i dziennikarskiej w „Sztandarze Ludu”. Ja rozpocząłem pracę początkowo jako sprawozdawca z koncertów, których w tym i następnym roku odbywało się coraz więcej w ocalałej sali Towarzystwa Muzycznego.

W pierwszym roku po wojnie na koncerty chodzilo się często w dziurawych butach, ale nie miało to znaczenia, albowiem teraz słuchało się muzyki, której przez prawie pięć lat nie wolno było wykonywać. Przeżyłem dla mnie i tych wszystkich, którzy znaleźli się w sali koncertowej 23 września 1944 r., okazał się recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego, wybitnego pianisty — ucznia Paderewskiego. Był to pierwszy oficjalny publiczny koncert w Polsce Ludowej. Usłyszeliśmy m.in. utwory Chopina: polonez, 2 mazurki, 2 nokturny, scherzo, impromptu i balladę.

Program tego koncertu posiadam w moich zbiorach; dla historyka kultury byłby niewątpliwie czymś cennym i unikalnym, dla mnie będzie zawsze pamiątką tych przełomowych lat.

Kultura 1977

KONKURSY

LITERATURA

Redakcja katowickich „Pogladów” i działający przy niej Klub Robotników Piszących ogłaszają konkurs literacki na temat współzawodnictwa pracy, dostępny dla wszystkich. Nadsyłać można wspomnienia, fragmenty pamiętników lub inne utwory literackie. Konkurs zorganizowano w związku z 20 rocznicą ogłoszenia przez Wincentego Patrowskiego apelu o udziale we współzawodnictwie pracy. Prace należy nadsyłać do 31 marca 1978 roku pod adresem: Redakcja „Pogladów”, 44-041 Katowice, Rynek 12, Nagrody: I — 15 tys. zł, dwie II po 10 tys. zł, trzy III po 7 tys. zł, pięć IV po 5 tys. zł, dwie specjalne oraz 2 wyróżnień po 1 tys. zł.

SZSP — Klub Studentów Wybrzeża „Zak” organizuje w listopadzie XVIII Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży”. Konkurs jest otwarty. Należy nadsyłać do 29 września br. zestaw trzech wierszy w trzech egzemplarzach. Listę zestawów dowolna, pod adresem: KSW „Zak”, Gdańsk 80-833, ul. Wąly Jagiellońskie 1. Nagrody: I — statuetka „Czerwonej Róży” i 5 tys. zł, II wyróżnienie — 3 tys. zł, III wyróżnienie — 2 tys. zł oraz nagroda równorzędna „Czerwonej Róży” za najlepszy zestaw o tematyce morskiej.

Tomiki poezji ukazują się u nas dość często, ale ich nakłady są stosunkowo niskie — rzadko kiedy sięgają tysiąca egzemplarzy. Odfajkowanie poezji przez wydawców, czy też rzeczywisty brak zapotrzebowania? Warto więc odnotować, że Wydawnictwo Poznańskie wydało tom wierszy Czesława Kurtyki w nakładzie „22” 2800 egzemplarzy, a Wydawnictwo Łódzkie Igora Sikirycyckiego „Wiersze” w nakładzie 2 tys. egzemplarzy.

Dyrektorem wydziału literatury na uniwersytecie w Vera Cruz jest Mario Munoz, który także redaguje miesięcznik literacki „La parábola y el hombre” (Słowo i człowiek). Ostatni numer w całości został poświęcony literaturze polskiej oraz ilustrowany polską grafiką. Są tam m. in. teksty Nalkowskiej, Iwaszkiewicza, Schulza, Lema i Stachury.

Popularny dziennik paryski „Le Monde” rozpoczął druk w odcinkach powieści Witolda Gombrowicza „Les Envoyés” (Opętani). Jest to parodia czarnej powieści angielskiej, zaprawiona intrygą kryminalną, pełna w niej postaci o tajemniczej i wielowarstwowej osobowości. Warto dodać, że powieść ta ukazała się również w odcinkach, w przedwojennej populudniowej warszawskiej „Dobry Wieczór — Kurier Czerwony” w czerwcu, lip-

cu i sierpniu 1939 r. pod pseudonimem Niewieści.

Jak sędzią UNESCO, w okresie istnienia ZSRR opublikowano tu utwory pisarzy spoza granic: tytuły w latach 1956-1972 ukazało się 8393 tytułów autorów amerykańskich, 5723 francuskich, 591 angielskich. W tym samym czasie w USA wydano 493 tytułów książek pisarzy radzieckich, w Wielkiej Brytanii 437, we Francji 822. Dysproporcje są olbrzymie. Ostatnio np. zakończono wydawanie w ZSRR 999-tomowej „Biblioteki literatury światowej” — w której 110 tomów poświęconych jest twórcom zagranicznym, a każdy z tomów drukowany w nakładzie 300 tys. egzemplarzy.

MUZYKA

Kazimierz Kord, nowy dyrektor Filharmonii Narodowej, początkowo chciał zostać pianistą i ukończył odpowiednie studia w Leningradzkiej Akademii Muzycznej, a dyrygenturę studiował później w Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Najpierw był chormistrzem, potem dyrektorem i reżyserem opery w Krakowie. W roku 1972 debiutował w nowojorskiej Metropolitan wystawiając „Damę pikową” i od tego czasu datuje się jego międzynarodowa sława.

W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej znajduje się tzw. Księga Twardowskiego, będąca swego rodzaju encyklopedią zawierającą opis sztuk wyzwolonych, w tym także muzyki. Współczesny kompozytor Romuald Twardowski — chyba nie potomek legendarnego sztukmistrza, bo tenże pozostał na Księzycu — zaczął od tworzenia muzyki, sięgającej do tradycji europejskiej muzyki XII i XIII w., ale coraz częściej tworzy rzeczy współczesne. Dla telewizji przygotowuje obecnie humoreskę „Piesń bez słów” według Zerom-

skiego oraz skreślił operę „Marna utrata”, do której libretto — 384 kwiatki — napisała historia przy pomocy prof. B. Korczonowskiego.

W archiwum Teatru Narodowego w Pradze odnaleziono grupa, a jedna z trzech partitur opery Ludwika van Beethovena „Fidelio”, na której widnieją uwagi, korekty i uzupełnienia, napisane własnoręcznie przez kompozytora. Pierwsza wersja została wykastrowana w okopowanym przez Napoleona Wiedniu i nie wzbudziła większego zainteresowania, a trzecia w czasie Kongresu Wiedeńskiego i przyjechała kompozytorowi sukces, chociaż w ostatniej chwili wprowadził do niej szereg poprawek, m. in. usunął fragmenty głoszące hasła wojnościowe, gdyż mogły urazić przybyłych na Kongres władców. Drugą wersję wystawiono tylko raz w Pradze, a potem egzemplarz partitury zaginął.

OPINIE

„Kierowanie to praca o charakterze niezrutynizowanym, twórczym, wymagająca nie tylko dokładnej znajomości ogólnych założeń aktualnej polityki gospodarczej i własnych zadań, ale przede wszystkim umiejętności organizatorskich i szybkiego podejmowania trafnych decyzji, przewidywania „nieprzewidywalnych” sytuacji i wypadków, wreszcie — i to jest chyba najważniejsze — efektywnego a zarazem możliwie bezkolizyjnego wzięcia różnych interesów i bezkonfliktowego współdziałania z ludźmi, obojętnie — zwierzchnikami czy podwładnymi. Ba, ale gdzie się tego wszystkiego nauczyć?” (Zbigniew S. Nowak — „Odgłosy” nr 29).

„My do tych książek pisanych przez polskich pisarzy na obczyźnie stosunek mamy niedobry i nieładny. Te książki chociażby za Olzy traktujemy ani jako swoje, ani jako obce: a w

rezultacie nie tylko, że o nich nie piszemy, ale nawet nie wzmiankujemy o nich; jakoby nie buntowały wami?” — „Przegląd Kulturalny” nr 29).

„Lanassa nie pisze „na kłopot”, nie pada płacikiem przed pisarzem, jest go nawet urażona. W tym jak by nie było krytyku powieści katolickiej jest zdumiewającym wręcz zdrowym racjonalizmem. W swoich analizach dąży usunąć do tego, aby były one konkretne, pozostawione ogólnikowości, ale zarazem wolne od rozczepiania włosia na czworakach”. (Jan Kopyrowski — „Literatura” nr 29).

WYZNANIA

„Pragnę w niedługim czasie zrealizować dalszy ciąg widowiska, ukazującego tym razem sprawy polskie między rokiem 1939 a 1943, utrzymanego w tym samym stylu, według scenariusza tych samych autorów”. (Roman Wionczek — reżyser serialu „Przed burzą”).

„Reżyser Dzięwoński jest bardzo surowy dla aktora Dzięwońskiego, tak zresztą jak i dla wszystkich (...). Adeptów szkół teatralnych nie mają pojęcia czym jest komedia. Kształcimy tylko „Hamletów” i „Ofelię”. A przecież prawdziwe wzruszenie, wywołujące z tragedii i prawdziwy śmiech, płynący z dobrej komedii, są jednakowo trudne do przekazania”. (Edward Dzięwoński — dyrektor teatru „Kwadrat”).

„Ciągłe poszeże w naszym świecie siły postępu muszą walczyć z siłami reakcji. Zamykać oczy na te sprawy, unikać tej tematyki w sztuce jest niedopuszczalne, karygodne. Sztuka ma rację bytu, gdy żyje radościami, nadziejami i cierpieniem milionów ludzi, gdy pomaga człowiekowi w walce o lepszą przyszłość”. (Peter Weiss — dramaturg i plastyk NRD).

ekran i widz

„Powrót Robin Hooda”

Po dwudziestu latach spędzonych na wyprawach krzyżowych wraca do Angli legendarny Robin Hood, dawny mieszkaniec sherwoodzkiego lasu obrońca uciskanych, który na czele swoich łuczników toczył niegdyś zwycięskie boje z okrutnym szeryfem z Nottingham. Przybywa aby połączyć się znowu ze swoją ukochaną, Marian, którą pozostawił na wyspie wyruszając za morza z królem Ryszardem Lwie Serce.

Oto kolejna opowieść o Robin Hoodzie, temat od setek lat inspirowany ludźmi pióra, teatru, a w ostatnim czasie — tak często wykorzystywany w filmie. Powstało do tej pory aż czterdzieści filmowych wersji legendy o Robin Hoodzie. Jeszcze niedawno oglądaliśmy radzieckie „Sierżant Robin Hooda”, a już na ekranie wędruje film amerykański: „Powrót Robin Hooda” ze światowej sławy aktorami — Seanem Connery i Audrey Hepburn w rolach głównych, reżyserowany przez nie mniej słynnego Richarda Lestera.

Mówi się o Lesterze, że tematy i gatunki filmowe potrafi zmieniać z łatwością prestidigitatora. Istotnie, lekkość z jaką ten reżyser umie przetrzącać się od komedii muzycznej do filmu o zacięciu socjologiczno-obyczajowym, od obrazów z gatunku plażacza i szpady po filmy katastroficzne — budzi podziw dla jego twórczej wyobraźni, zręczności warsztatowej, ale i... elastyczności ideowo-artystycznej. We wszystkich jednak fil-

mach Lestera czuje się owe trochę ironiczne, trochę kpiarskie spojrzenie człowieka na świat z dużego dystansu, z boku, i ocenającego go w bardzo swoisty sposób.

Pamiętamy Lestera przede wszystkim jako twórcę doskonałych filmów o Be-

teństwie uczu wśród młodych ludzi, o zakłamaniu ludzi dorosłych... „Katastroficzny „Britannic” w niebezpieczeństwie” to zapierająca dech w piersiach opowieść o akcji komandosów na transatlantyku, poszukujących ukrytej przez szaleńca bomby zegarowej. Niedawno zeszły z

tem Robin Hooda”, właśnie wyświetlanym na lubelskich ekranach. Reżyser podszedł tym razem do tematu nad wyraz serio. W jego opowieści Hood jest człowiekiem postarzałym, zmęczonym trudami wojennymi, szukającym spokojnego kąta na rodzinnej ziemi. Chciałby znowu zamieszkać z ukochaną kobietą w sherwoodzkim lesie, zakosztować życia, dawnej miłości. Ale czasy się zmieniły. Marian jest dzisiaj przeoryszą klasztoru, towarzysze-łucznicy zginęli lub wymarli, a szeryf Nottingham ma sprzymierzeńca w osobie ambitnego i bezkompromisowego rycerza, Ranulfa de Pudsey.

Robin Hood stanie do walki o odzyskanie Marian i uda mu się znowu zyskać miłość pięknej mniszki. Ale powrót do dawnej miłości musi się łączyć nierozdzielnie z powrotem do dawnego życia — pełnego walk i niebezpieczeństw. Zresztą i sam Robin Hood jakby celowo szuka sytuacji konfliktowych, prowadzących do bitewnych rozgrywek, w których mógłby się znowu sprawdzić na miarę swojej legendy. Właśnie dlatego podejmuje szaleńca, nierówną walkę z wojskami królewskimi.

Rycerski pojedynek pomiędzy Robin Hoodem i szeryfem Nottingham to załobna rękawica dwóch postarzałych ludzi, których bardzo szybko opuszczają siły. To kłeska Robin Hooda, który w tym pojedynku jest zdecydowanie gorszy, otrzymuje groźną ranę i właściwie tylko przypadkiem udaje mu się śmiertelnie ugodzić przeciwnika. Zeby ucałować legendę Robin Hood musi umrzeć. Ale nie zginie z mieczem w dłoni, na placu boju. Nieświadomy, wypije truciznę podaną mu przez osobę najbliższą.

„Powrót Robin Hooda” jest filmem dobrze pomyślanym, ale dużo mniej ciekawym w realizacji. Interesujące kreacje aktorskie Seana Connery i Audrey Hepburn, ładne zdjęcia i kilka dość efektownych pojedynków nie równoważą zbyt wielu ujęć statupowych, scenek „pod publiczkę”, w niedobrym, hollywoodzkim stylu przesłodzonych scen miłosnych. Lester jak zwykle prezentuje doskonały warsztat, ale zabrakło w filmie owego pletna talentu, jakie noszą w sobie prawie wszystkie dzieła tego reżysera.

md



Sean Connery — Robin Hood i Audrey Hepburn — Marian

atlesach — „The Beatles” i „Na pomoc!”. Filmy muzyczne, a zarazem satyryczne, pokpiwające z obłędnej fascynacji „Czwórka z Liverpoolu”. W ambitnym „Sposobie na kobiety”, pure-nonsensowej komedii o współczesnej angielskiej młodzieży, Lester ukazywał w krzywym zwierciadle modę na sex, na piosenkarckich idoli. Był to zarazem film o sub-

naszych ekranów dwuseryjne przygody „Trzech Muszkieterów”, nakręcone przez Lestera według słynnej powieści Dumasa. Film z gatunku plażacza i szpady, ale robiony z tym charakterystycznym dla reżysera komediowo-satyrycznym zacięciem.

Inaczej rzecz się przedstawia z ostatnim filmem Richarda Lestera, „Powro-

koncercem w Opolu okazało się, iż nie ma kto zapowiadać na koncercie „Debity”. Wprawdzie na miejscu było kilkanaście tysięcy dziewcząt, kobiet i matron, ale tym razem organizatorzy zdecydowali się na czyn nieznanym w dotychczasowych annałach naszej rozrywkowej: wysłano helikopter po Marię Wroblewską do Poznania. W ogólnych kosztach festiwalu koszt tego przedsięwzięcia okazał się niezbyt wysoki. No cóż, jesteśmy bogatym narodem i na następny festiwal będziemy przywozili samolotami wszystkich uczestników, nie wylączając szatniarek.

Twórcy filmu „Kochaj albo rzuć”, który właśnie owija się po naszych ekranach, wykazali dużo samokrytycyzmu. I słusznie. Pierwotny tytuł bowiem brzmiał „Big Deal”. Nie chodzi tu o angielszczyznę, ale o fakt, że znaczy to „Duża rzecz”. Film zaś okazał się całkiem średni, można się na nim trochę pośmiać z sytuacji, ale i potężnie zirytować ze względu na fatalny dźwięk.

Nie od dzisiaj mówi się o upadku naszej krytyki literackiej. Jedną z przyczyn jest

to, iż krytycy (lub „krytycy”) starają się być niby oryginalni, a wychodzi pudło. W „Tygodniku Kulturalnym” nr 29 Tadeusz Skutnicki omawia ostatni tom wierszy Jana Górcza-Rosinskiego i tak zaczyna: „Dwa jakby skrzydła posiada twórczość poetycka Jana Górcza-Rosinskiego. Skrzydło publicystyczne i skrzydło metafizyczne, skrzydło rozpaczy i zwątpienia w przyszłość świata oraz skrzydło otuchy i nadziei, sięgające w najgłębszą przeszłość”. Ja dołożyłem się w tym tekście czterech skrzydeł, jako że publicystyka może zawierać akcenty zarówno rozpaczy jak i otuchy, a metafizyka nie musi się zwątpienia i sięgać do najgłębszej przeszłości.

Od pewnego czasu usłynie i konsekwentnie namawiam naszego hańczonego — aby wzorował się na telewizji lub kinematografii. Chodzi o to, że co roku w okresie letnim na dużych i małych ekranach mamy moc powtórzeń, a nawet zdarza się, że pewne pozycje ukazują się po raz czwarty. Więc ja proponuję, aby w „Kamieniu” drukować ponownie artykuły sprzed pięciu czy dziesięciu lat. Bo niby dlaczego nie? Pewne tematy nie starzeją się, jak np. wszystkie

krytyczne uwagi o gastronomii, budownictwie czy PKP. Będzie mną roboty w uszczuplonej urlopowo redakcji, zaoszczędzi się na honorariach i w ogóle będzie fajnie. Ale najsłynny chłop choierne uparty i nie chce. Nawet nie mówi, dlaczego nie chce, tylko się śmieje.

Na moją uszczupliwą notkę w sprawie tzw. usług, świadczonych rzekomo na stacjach benzynowych, dyrektor CPN w Lublinie odpowiedział kilkakrotnie dłuższym listem, w którym całkowicie potwierdza się, że „będziemy dokładali ze swojej strony starań celem poprawienia sytuacji na odcinku świadczenia bezpłatnych usług”. Co lojalnie przepisuje, nie wierząc w realizację, to znaczy nie w starania, ale w efekty tych starań. Ponadto warto odnotować, że jeżeli automobilista sam uzupełnia sobie powietrze w oponach, nie ma obowiązku płacić obsłudze, bo płacić się za usługę, a nie za powietrze.

JOD

noty i notki

Hamilton, jak wiemy, wie wszystko i o wszystkim ma własne zdanie. W nr. 29 „Kultury” zrywał się na Piłsudskiego — eufemistycznie pisząc „głos spod nawisłych wąsów i brwi” — że podczas pogrzebu Słowackiego na Wawelu powiedział izby poeta „krokiem był równy”, uznając, że w istocie była to profanacja poety. A to dlatego, że np. Zygmunt III Waza chociaż nosił „koronę na głowie”, był osobnikiem przeciętnym. Ciekawi mnie, gdzie Hamilton — po najdłuższym zyciu — chciałby leżeć, aby nie znaleźć się w towarzystwie ludzi przeciętnych.

Co to znaczy mieć w chwili krytycznej fantazję. Oto kilka godzin przed pierwszym

POCZTA LITERACKA

M. K. Warszawa. Poczta literacka nie komponuje się w jedną całość. Ta beztroska obrazowania jest urokiem naturalności całej współczesnej poezji. Na przykład. Jeśli mówimy o białkach, że „rozdziewiczyli zielone kawy” lasu, to nie przystaje do tego „szaleńczo ludmi zeszlerecznymi”. Jeśli mówimy o pragnieniu ujęcia trojeź dion, to „pluton palców” z mojej strony jest wyraźnym sgrzytem. Jak pluton pasuje do intymności? Ale chodzi o metaforę, o chodźło i to, że by trzech palców nie zostawić bez „poetyckiego” dopełnienia. I wyszedł dziwogaz. Nie ma drba w Polsce krytyki tw. immanentnej. Sakoła. Ta rozliczna kłody z celowości artystycznej, plasowana dyskusji z autorem była wyraźnie określona. Dziś się to rozpląta w atmosferze „inteligentnych” i nie nie znaczących sformułowań.

J. P. Niepołomice. Nie.
S. M. Szczecin. Wszystko to jest nieważne, zdawkowe. Opisywać „szczęśliwość” i przy szczęśliwości pozostać nie wyprowadzając z nich ważnego wniosku? Sprzeciwia się to istocie wiersza. Kto tak postępuje, dowodzi, że wierze płazie tylko na skutek kolosalnej tolerancji. Jaka panuje we współczesnej poezji. Zachodzi pytanie po co. Mówię, by nie nie powiedzieć? Wątpliwy to powód do satysfakcji.

M. W. Lublin. Przez z tym opisywacielni? Jaki utwór chce wywołać nastrój językiem dziennikarskiej notatki? To informacja w gazecie musi zabiegać o podanie wszystkich szczegółów towarzyszących wydarzeniu. Utwór literacki musi postugiwać się językiem nośnym, niosącym informację, komentarz, odwołanie emocjonalne w sposób skrócony. Pan rozprawił tekst notatki o wianamie na 18 stron maszynopisu. Nie tędy droga do pisarstwa.

A. R. Starachowice. Ma Pan rację. Młoczenie redakcji, do której autor wysłał swoje teksty jest dezorientujące i oberwładniące. Kto wie, czy nie należałoby wprowadzić urzędowego przepisu do sprawy regulacyjnego. GS ZURT, skien meblowy ma obowiązek odpisywania na pisma. Dlaczego nie mają redakcje? Co do wierszy — jeden, mianowicie „Zabieg”, zatrzymaliśmy w tece redakcyjnej.

R. M. Grodziec. Bardzo zdawkowo potraktował Pan własne utwory. Nie udało mi się w nich znaleźć nic ciekawego. Ze każdy znalazł w sobie „wyspę pełną smutków i radości przeszłych i przyszłych”. „Jestem jak ptak wolny”, „słowami czasem człowiek jak ptęca uderza drugiego człowieka”. Ile razy się to czytało i słyszało. Weale nie potrzeba nastawiania poetyckiego, by taka prawda zrewelować. I chyba takie pisarstwo samemu Panu nie daje satysfakcji.

K. R. R. Lublin. W pańskich wierszach jest mowa albo o niersiach kobiecych, albo o wierszach. Monotemat. W dodatku niecelowe. Ani w jednym ani w drugim nie daje Pan zastanawiających konstatacji. W ogóle znaczna część współczesnej młodej poezji ma intelektualną zawartość piosenki, w której byle zwrot rzucony na byle zestaw tonów pretenduje do miana artystycznego utworu. Pan tego niebezpieczeństwa zdaje się nie unikać. I to jest mój zasadniczy odzew czytelnicy na Pana teksty.

E. M. K. Zielona Góra. Ta niefrasobliwość może być nawet ujmująca. Ale daleko do tego, by stała się filozofia. Jest pewnym odprzedem po napuszonej kontestacji, kiedy się przeczyta wiersz o ulubionym kotku, który „nie ma futerka z pluszu ale skóry”. Tylko do tego kotka trzeba umieć przekonać. Do kotka jako literackiego motywu. To jeden z nadesłanych wierszy. Drużni b. „Dosejdi” jest tak przeladowany metaforami i to nie najlepszej jakości, że proponuję go uznać za nieblyki.

A. Jordan. Opole. Jak na pierwsze próby to wiersze są nawet udane. Napisałem to i chce się z tego wycofać. Bo w poezji udane musi być wszystko i od razu tu nie ma powolnego dorastania. Nawet juvenilia muszą czymś zaskoczyć. Ale co mam do zauważenia: te wiersze są do przyjęcia nie przez obecność zalet, ale przez brak wad. Wiele wiadomo do jakiego przyjęcia. Czytelnik chce być zaprowadzony. Wiersza nie można prowadzić po linii najmniejszego ani nawet średniego oporu. Wiersz musi chcieć zdobyć wszystko.

C. G. Lublin. Ta filozoficzna groteska nawet ma w sobie duży ładunek ekspresji, ale nie zawsze tłumaczy się w jednoznaczny sposób. Ach tak, może się tłumaczyć również w wieloznaczny, ale warunkiem: za wiedzą autora, niech to nie będzie wymknienie się spod jego kontroli. Wieloznaczny nie może być niejaki. Pan przedobrzył sprawę: pokusił się o takie „zageszczenie” tekstu, że ten miejscami stał się niezrozumiały, albo dopuszczal nadmierną możliwość interpretacji. Proponuję przemyslić. Albo — przekonać mnie następnymi tekstami.

C. P. Biała Podlaska. Można tym się zainteresować na użytek „prywatny”. To znaczy poza konwencjami, według których na terenie poezji porozumiewamy się działają powszechnie. Natomiast nie można tego zaproponować do druku. Cała tw „prawda uczuć”, „szczęśliwość wypowiedzi”, ujmująca w korespondencji prywatnej, stanie się w druku nieporadnością i powtórzeniem wzorów doświadczonej próby. Nie zniechęcam, ale nie rzuć widoków szerzej publikacji. Jest to typowa poezja stambuchowa przeznaczona dla wąskiego grona odbiorców.

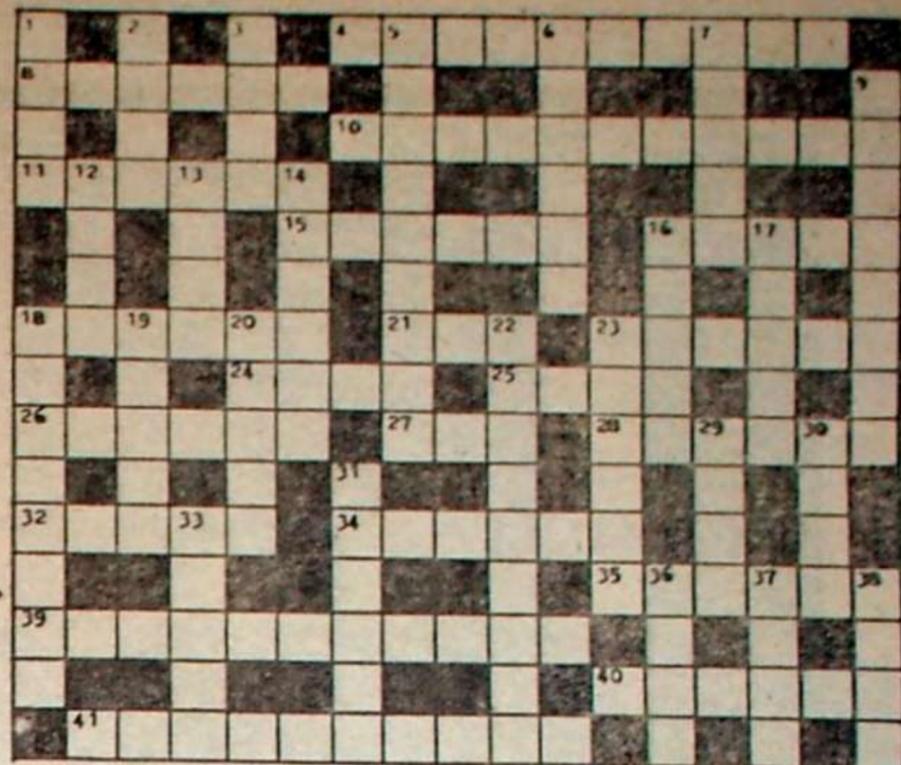
J. D. Puławy, W. J. Parczew, S. R. Ostrołęka, A. G. Lublin, Z. D. Lublin — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 16)

Poziomo: 1. suszka „Ani z Zielonego Wzgórza”, 2. najstarszy epos europejski, 18 wydał Akademia Rolniczej, 11. mała ilość piwa, 15. był drukowany w odcinkach w „Kamieniu”, 16. zastępowała skarpkę, 18. z nią albo na niej wracali z wojny Spartanie, 21. wąża ryba, 22. wieje w każdej malinie, 24. Abel dla Kaina, 25. rzymski Kros, 26. główna postać kobieca w „Hamlecie”, 27. grecka drużyna piłkarska grająca w tym roku w Pucharze UEFA, 28. ogrodowy trawnik, 29. targowisko, 34. starożytne państwo w Mezopotamii, 35. nauczyciel języka obcego na wyższej uczelni, 36. hasło na płótnie, 46. australijski torbacz, 41. pracownik teatralny opiekujący się sprzętami potrzebnymi na scenie.

Pionowo: 1. 196 lat, 2. filmowy lokal, 3. pomocnik trybuna rzymskiego do spraw porządku publicznego, 4. muzyk grający na największym instrumencie, 6. jabłko Adama, 7. od 55 do 33 min lat temu, 8. urodzisko z dorocznym turniejem szachowym, 12. marzenie wędkarza, 13. do zaczyniania tańca, 14. główne miasto Erytrei, 16. dramat muzyczny, 17. port rybacki i mielsowość wczasowa w woj. śląskim, 18. wielki góralski instrument dęty, 19. smoleńskie istniejąca część przyrody, 20. kolekcja, 22 autor „Poematu pedagogicznego”, 23. osobne obfotowanie otworu drzwiowego, 29. handluje pieniędźmi, 30. trzyosobowy zespół muzyczny, 31. płyty, 33. poeta używający pseudonimu El...y, 36. odcinek trasy, 37. państwo afrykańskie nad Zatoką Gwinejską, 38. przewód do płynów i gazów.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 14 był fragment wspomnianego Wacława Grulewskiego „Ogniste kota”.

„A o postać było trudno, szczególnie z tak rzwaną zasargana opinia. Namawiałem go by w Lublinie założył szkołę tańców towarzyskich”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 14 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Maria Gładysz 20-425, Lublin Kotlarska 3/1, Witold Nowakowski 20-678 Lublin Krak. Przedm. 66-6, Danuta Kula-Kowska 38-560 Sarnok, Krakowska 48, Maryla Znamiecka 83-236 Warszawa Toruńska 80/179.

listy do kamery

A KULTURA?

Pracownicy spółdzielni produkcyjnych i PGR żyją to coraz lepszych warunkach, to nie ulega wątpliwości. Mieszkają w domkach z łazienkami, ciepłą wodą i centralnym ogrzewaniem, posiadają przyzwoite meble, telewizory, nawet magnetofony, bywa także, że i samochody. W Państwowym Gospodarstwie Ogrodnictwa w Łęcznej nie tak dawno temu zbudowano przy prawie każdym budynku garaż — z kuchenkami i na wszelki wypadek. Znaczenie, ale to znacznie gorzej przedstawia się sprawa kultury w tych instytucjach. Oczywiście, przy każdym gospodarstwie działa świetlica z prasą i telewizorem, od czasu do czasu pojawia się w niej prelekcja, ale faktyczny udział pracowników w gospodarstwie w tzw. konsumpcji kulturalnej jest zdecydowanie za mały.

Według badań socjologicznych robotnicy rolni należą do kategorii społecznej najmniej intensywnie korzystającej z pracy — przedadają tylko gazety — kina, teatru, bibliotek... Wiąże się to oczywiście z poziomem wykształcenia tych ludzi, ale również z faktem, że we wspomnianych instytucjach nie zatrudniono ani organizatorów życia kulturalnego o pełnych kwalifikacjach. Bo po prostu nie ma chętnych i odpowiednio wykształconych, którzy by zdecydowali się na taką pracę w warunkach wiejskich. Absolutnie przeróżnych specjalizacji kulturalno-światłotowych — od niedawna istnieje taka np. przy polonistyce UMCS — z rezerwą nie podejmują pracę na stanowiskach, do których zostali przygotowani. Podobnie zresztą jest w innych krajach.

„Kocimem” trzeba się urodzić — ot i cała tajemnica sprawy. [...] Marian Kolef Lublin

WIEDZA, WIEDZA...

Może to i nie wypada, ale donoszę czytelnikom „Kamery”, że jeden z moich dalszych znajomych z pewnego niedużego miasteczka nie zdał egzaminu na polonistykę UMCS w Lublinie, ponieważ na pytanie, co to jest RWFG, EWG i UNESCO odpowiedział głębokim młoczeniem. Rozgadł się dopiero po wyjściu z egzaminu, żaląc się kandydatom na studia, że komiśa udała uparla się go „oblać”, ponieważ pytała go o takie trudne sprawy, o których jak żyje nie słyszał. Pikanterii całej tej sprawie dodaje fakt, że ojciec owego chłopaka jest działaczem społecznym i lekarzem.

Anna Ziębińska Chełm

GDZIE JEST PRZEWODNIK?!

Pojechałem na festiwal kapeł i śpiewaków ludowych i na występie pobytu w Kazimierzu nad Wisłą chciałem kupić jakiś przewodnik po miasteczku i jego historii, albo album, albo jakikolwiek inną książkę na ten temat. Niestety, wszędzie tam, gdzie pytałem — w kioskach „Ruchu”, punkcie PTTK, katedrni przy rynku — słyszałem w odpowiedzi: nie ma, dawno wyczerpane, ostatni album ukazał się dziesięć lat temu. To doprowadziło zdumiewające, że świetny, przyciągający tłumie turystów Kazimierz nie ma obszernego przewodnika — obszernego, bo przecież tematy leżą setkami na Kazimierskim bruku...

Inna sprawa, to adm festiwal. Zorientowałem się, że zarówno organizatorzy, jak i gazety lubelskie cieszą się z faktu przekształcenia imprezy w wielką imprezę. Moim zdaniem Kazimierz nie jest absolutnie dostosowany do festiwalu —

monstrum, gromadzących, jak ostatni, około 1000 wykonawców. To miasto ma charakter kameralny i takie też powinno być imprezy w nim organizowane. Rozumiem, że festiwal muzyki ludowej z natury rzeczy musi mieć pewien rozmach, ale nie przesadzajmy.

Jerzy Aleksy Warszawa

MUZEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Mamy w kraju 8 milionów spółdzielców i piękne tradycje ruchu spółdzielczego, z którymi można zapoznać się w jednym w kraju muzeum spółdzielczości — w Nałęczowie, bardzo zresztą ładnie i starannie urządzone. Będąc niedawno w tej placówce z pełnym zdumieniem zauważyłem jednak brak jakiegokolwiek informacji o kilku mniej lub bardziej wybitnych działaczach ruchu spółdzielczego. Dlaczego tak się dzieje, skąd to młoczenie? Przecież do muzeum przychodzi młodzież szkolna, poznająca tam nasze tradycje!

Józef Wiśniak Łódź

POSTAWA

Toczyła się kiedyś w prasie dyskusja (krótka rzecz) o Związku Harcerstwa Polskiego. Niedawno byłem krótko na dużym zgrupowaniu drużyn ZHP, gdzie poczyniłem pewną obserwację. Otóż kadra organizacji posiada sylwetkę — obowiązuje jakiś model, czy co? — urzędniczą przed emeryturą, albo dobrze odwołanego sprzedawcę sklepu rosyjskiego. Przecież ci ludzie nawet chodzą odpowiednio, czuli sprężyście, nie umiśli, garbią się, salutują tak, jakby opędzali się od natrętniej muchy.

Wacław Kołesnikow Puławy

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Rechezy-Rudnicka, Jerzy Dostatni, sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
 — do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnny.
 — do dnia 16 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78 —
 Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”
 Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
 Prenumeratę ze zniżką wysyła się granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmującej RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Kierownictwa Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-951 Warszawa konto PKO nr 1331-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
 Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmie interesantów w niedzielę i piątek w godz. 14-16.
 Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im PKWN, Unicka 4. Zam. 1873. J-4.

Numer łamali: Mieczysław Paujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1
 Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
 Korespondencje prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 30251

Muzyka łagodzi obyczaje



FOT. WALDEMAR STĘPIEN



BARAN 21 III-18 IV

Wiele osób spod znaku Barana ma już urlop poza sobą. Należałoby więc teraz z energią wziąć się do pracy. Niestety, zalety są spore. Na pomoc kolegów czy koleżanek raczej nie licz. Każdy myśli tylko o sobie. Stosunki w twojej instytucji nieco się popsuły; nie będzie teraz łatwo rozstrzygać atmosferę, zwłaszcza że i sam szef ma na głowie własne kłopoty.

BYK 19 IV-20 V

Sprawa nie wygląda tak beznadziejnie. Niepotrzebnie się zastanawiasz, chociaż prawdę mówiąc, jesteś bogatszy o jeszcze jedno doświadczenie. Musisz teraz znaleźć wiele taktu i tzw. miękkość życiową. Przejaw jednolitej inicyjatywę, zwłaszcza, że wada, z której strony możesz oczekiwać ataku.

BLIZNIĘTA 21 V-30 VI

Dobrze przepowiadałem. Zaczęło się! Teraz gnatawasz się coraz bardziej, a w domu musisz oszukać. Nie sądzę, aby udawało ci się na dłuższą metę. Twoje pełne powroty budzą podejrzliwość, a humaczenia nie są zbyt

przekonywające. I jeszcze ten alkohol! Czesz doprowadzić do rozwodu?

RAK 21 VI-22 VII

Kocha czy udaje? W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę fakt, że nie jesteś wołny, nie powinno cię to zbyt obchodzić. Czy ty zresztą sam zdolny jesteś do prawdziwej miłości? Sniem w to wątpię. Oboje traktujecie to — jeśli tak można powiedzieć — sportowo. Ale już bliżej zmierzchu...

LEW 23 VII-22 VIII

Druga połowa roku, warto pokusić się o dokonanie bilansu. Niestety, zbyt optymistyczny tu on nie będzie. Niewiele dałeś z siebie i wcale nie zanosi się, abyś zmienił się teraz. Gnuśniejesz, holdujesz specyficznemu tumiwizizmowi. Już zawiodeś zaufanie innych, trudno będzie ci naprawić dawne błędy. Zresztą, jak masz je naprawiać, skoro tkwisz w nich nadal,

PANNA 23 VIII-22 IX

Nie ma co, potrafiłś denerwować bliskich! Kto cię tego nauczył? Jeśli nie wezmiesz się solidnie w garść, widzę czarno przed tobą. W pracy też potrafiłś zarządzić już prawie ze wszystkimi. Jeśli zamierzasz ją zmienić, nikt ci nie wystawi dobrej opinii.

WAGA 23 IX-22 X

Tylko na pozór wygląda, że popełniłeś błąd. Postawiasz się i w gruncie rzeczy wyprzedziłeś na tym całkiem, całkiem... Pokazałeś, że masz własne zdanie. Myślic, że szef zrozumie, iż nie miał racji. Ale to człowiek dość uparty.

SKORPION 23 X-22 XI

Na razie trudno powiedzieć, czy w danym wypadku właśnie ty masz rację, ale dobrze, że

przed podjęciem pewnych kroków radziś się innych. Kto wie, może podświadomie zmienia się twój charakter? Nie byłoby to wcale złe...

STRZELEC 23 XI-21 XII

Jeden błąd pocłagnął za sobą całą lawinę nieprzemyslaných decyzji. Do niczego dobrego doprowadzi to nie może, chyba że zamierzasz przyskoczyć z domu i z miasta, w którym mieszkasz od lat, miasta, na które w gruncie rzeczy narzekać nie powinienes. Kiepsko odwiedziasz się tym, którzy ci niegdyś pomogli.

KOZIOROŻEC 22 XII-20 I

Rak urlopuje, ale bez ciebie. Jak to się mówi? Wszystko to byłoby wesole, gdyby nie było takie smutne! Myślisz o zmianie pracy. Nie radziabym jednak tego czynić, bo gdzie znajdziesz

lepszą? Przede wszystkim należałoby się zastanowić nad sensem życia. Wiele jeszcze musisz przemyśleć. I przede wszystkim — przestać żyć z dnia na dzień!

WODNIK 21 I-18 II

Obowiązki znacznie ci się ostatnio powiększyły. Aby im sprostać, musisz solidnie wziąć się do pracy, chociaż nie daje ci ona zbyt dużej satysfakcji. Przede wszystkim musisz jednak zbliżyć się do kolegów i koleżanek. Twoja oschłość wcale nie jest na miejscu. I nie zaprawiaj się zbytnio alkoholem. Po cwiartce traciś panowanie nad sobą.

RYBY 19 II-20 III

Ryby wykaraskały się z tarapatów. Trzeba tylko uważać, aby nie popełniać starych błędów. Nie czas też żałować, że wszystko nie ułożyło się tak, jak zamierzałeś. Szukales, szukałeś i znajdujesz się w punkcie wyjścia. Ale zawsze mogło być gorzej. Staba w pociecha, ale jednak...

Stella

HOROSKOPY